NIESPODZIANKA

PAULINA KRAKÓWOWA

WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

NIESPODZIANKA

Pies przyjaciel.

I. Drozdowska

PAULINA KRAKOWOWA

NIESPODZIANKA

ZBIÓR POWIASTEK DLA MAŁYCH DZIECI

WYD. JEDENASTE POPRAWIONE
Z 5-CIU RYSUNKAMI K. GORSKIEGO

1005

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1909

MUZEUM ŻARNOWIEC H. Konopnickiej

679-zb 1

884-93 kryt

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

1.

NIESPODZIANKA.

— Ach, — mówiła Salusia — ja się już chyba nigdy czytać nie nauczę.

— Ani ja — dodał Wicuś. — Ile razy wezmę się do książki, to mi się tak śmiesznie plączą i mylą litery, że nic złożyć nie mogę.

— Ani ja — powtórzyła Salusia. A jednak to wstyd, że dotąd czytać nie umiemy, — i mateczka się martwi, i tatusiowi przykro, — ale cóż zrobić, kiedy to tak trudno.

— Ja nie wiem, czy naprawdę trudno — szepnął Wicuś, — tylko że

mi się nigdy nie chce myśleć o tem, co tam w książce napisane, — dopiero teraz...

— Cóż dopiero teraz?

— Teraz, kiedy tatuś za 10 dni powróci, ciągle mi się przypomina, jak się z nami żegnał i powiedział: — Myślę, że za powrotem czeka mię tutaj miła niespodzianka— i spojrzał na naszą półeczkę z książkami. Pamiętasz?

— Pamiętam... Tatuś myśli, że go spotka miła niespodzianka — a tymczasem.

— Wiesz co, Saluniu, a gdybyśmy tak naprawdę chcieli? — Bo tatusiowi będzie bardzo przykro...

— To prawda, braciszku, przekonałeś mię zupełnie. Zabierzmy się

do pracy, poprośmy mamy o pomoc, uważajmy pilnie codzień, nie myślmy przy książce o zabawkach, to wszystko dobrze pójdzie.

Jak umyśliły, tak wykonały dzieci.

W dwa tygodnie od owej rozmowy, ojciec ich przyjechał z dalekiej podróży. Po przywitaniu, kiedy zasiadł w swojem krześle, wypytując matkę o wszystko, co zaszło w domu w czasie jego niebytności, Wicuś i Salusia stanęli z książką przy stole i pomału, wyraźnie, bez żadnej omyłki czytali kolejno krótkie powiastki i wierszyki.

— A to mi niespodzianka! — zawołał wesoło ojciec i, powstawszy, uściskał pilne dzieci; a potem, jakby przypominając coś sobie, sięgnął do podróżnego tłumoczka, wyjął z niego

niewielką książeczkę, w różowy papier oprawną, w której było wiele powiastek i ładne obrazki, a oddając ją dzieciom, rzekł:

— Wet za wet, dzieci kochane; myślałem, że ta książeczka, długo jeszcze w szafce czekać na was będzie, ale widzę, że już mogę dać ją wam do ręki: czytajcież ją uważnie, a dowiecie się wielu bardzo ciekawych rzeczy i poznacie niejedną prawdę. Bo w każdej z tych powiastek mieści się jakaś prawda.

2.

KOMINIARCZYK.

Adaś stał przy oknie w jadalnym pokoju, przed nim szklanka dobrego i ciepłego mleka, a na talerzu przedziwna strucelka; ale Adaś nie jadł smacznego śniadania, tylko ciągle patrzył w okno, wychodzące na dziedziniec.

— Czemu nie jesz, Adasiu? — spytała matka.

— Ach mamo! jak tu jeść! Patrz, tam na dachu od oficyny, jak się ten biedny kominiarczyk uwija. Dachówka, śniegiem przykryta, ślizka

być musi, a on tak po niej chodzi od komina do komina, schyla się, zwija sznury: o mój Boże! żeby przynajmniej nie spadł.

— Nie bój się, Adasiu, on pewnie zręczny jest i ostrożny.

— Ależ jemu i zimno być musi! Mnie w pokoju nie nadto cieplo, a on na mrozie ma tylko taką lekką kurtkę.

— Nie wszystkich Bóg równo obdzielił — rzekła matka.

— Wiem, wiem mamusiu; mówiłaś mi, nieraz, że bogatsi powinni dzielić się z uboższymi.

I, nic więcej nie mówiąc, patrzył Adaś na małego kominiarza, dopóki ten nie zszedł na podwórze. Wtedy zapukał na niego w szybę, a gdy chłopczyna wszedł do pokoju, posa-

dził go przy piecu, dał mu swoje śniadanko, patrzył radośnie, jak smacznie biedny kominiarczyk zajadał niezwykłe dla siebie łakocie. Potem dał mu jeszcze kilka groszy i prosił go, żeby, ile razy przyjdzie do tego domu wycierać kominy, wstąpił do niego na śniadanie.

Matka, z radością patrząc na dobry czyn syna, uścisnęła go czule po wyjściu kominiarczyka i rzekła:

— Tak zawsze czyń, mój synu!

3.

UCZCIWOŚĆ.

— Czego szukasz, dzieweczko? — zapytał kupiec, stojący w sklepie, dziewczynki ubogiej, która, schyliwszy się, ze łzami w oczach patrzyła dokoła siebie po bruku.

— Sześć groszy zgubiłam, panie! — rzekło dziewczę — sześć groszy, które mi matka na mleko dała.

— No! to masz inne sześć groszy, a nie smuć się.

Uszczęśliwiona dziewczynka skoczyła do mleczarki, siedzącej niedaleko, i wnet z garnuszkiem mleka

biegła do domu; ale przed sklepem dobroczynnego kupca, pod samym progiem, spostrzegła zgubiony pieniądz, — podnosi go i, wszedłszy do sklepu, oddaje kupcowi, mówiąc:

— Dziękuję panu, żeś mię w stracie pocieszył, lecz znalazłam swój pieniądz; oddaję z wdzięcznością, co mi pan dał, przyda się to znów może dla kogo, co w takim, jak ja, będzie kłopocie.

Prawda, moje dzieci, żeście polubiły tę ubogą, a poczciwą dziewczynkę?

4.

WRÓBELEK.

— Patrz, mamo! patrz! — wołały dzieci — Jan złapał nam wróbelka: będzie się z nami bawił.

— Puśćcie go dzieci kochane; on przyzwyczajony żyć na powietrzu, latać, gdzie mu się podoba: będzie mu w pokoju tęskno.

— O! my będziemy mu śpiewali, damy mu jeść, pić; zobaczysz, mateczko, on będzie wesoły.

Uwijają się dzieci: jedno kruszy wróbelkowi bułeczkę, drugie sypie siemię konopne, trzecie wodę w mi-

seczce stawia; ale wróbelek lata trwożliwie po pokoju, dziobkiem w okno bije i od dzieci ucieka, nakoniec wsunął się pod piec.

— Zostawmyż go pod piecem, przysuńmy mu jedzenie: on tam będzie miał swój pokoik.

I dobre dzieci odeszły w drugi kącik, bawiły się długo, coraz to się na piec oglądały. Niedługo też wróbelek wystawił dziobek, napił się wody, nałapał siemienia i znów się pod piec schował. Dzieci czekały cierpliwie, czy się z niemi bawić nie przyjdzie. Na wieczór podsunęły mu waty troszeczkę, żeby miał gdzie spać, ale próżno wyglądały, próżno dzień cały spokojnie spędziły: wróbelek nie wyszedł. Na drugi dzień dopiero, pod-

jadłszy dobrze, ptaszek ukazał się na środku pokoju, skakał po krzesłach, po stole, a najczęściej wzlatywał do okna i, złudzony przezroczystością szkła, kilka razy zapędził się, jakby chciał na dwór wylecieć.

— Widzisz, mamuniu — mówiły dzieci — on się już do nas przyzwyczajać zaczyna.

— A mnie się zdaje — odrzekła matka — że największą zrobilibyście mu łaskę, puszczając go na dwór: patrzcie, jak się tuli do szyby, chciałby ją przebić, a do swoich uciekać.

Nie słuchały dzieci, biegały za wróbelkiem, chwytały dla niego muszki, które ptaszek wdzięcznie przyjmował, ale bawić się nie śmiał jeszcze, czy też nie miał ochoty.

— On jutro będzie śmielszy — mówiły — i w tej nadziei spać się pokładły.

Ale nazajutrz jakże się zdziwiły i zasmuciły zarazem! wróbelek siedział na oknie, oparty dziobkiem o szybę, ale zimny, sztywny, nieżywy! Biedna ptaszyna umarła.

O! jakże żal dzieciom było, że nie usłuchały rad matki; że ptaszka, którego Bóg stworzył, by bujał w powietrzu, zamknęły w ciasnym pokoju i zgon mu przyspieszyły.

5.

ZAWSZE PRAWDA SIĘ WYDA.

Przy parkanie w ogrodzie rosły śliczne morele i nawet już dojrzewać zaczynały, kiedy ojciec, przez ciekawość policzył, wiele ich też być mogło. Nazajutrz, przechodząc tąż samą ścieżką, spostrzegł, że na jednej gałązce przerzedziły się owoce; przeliczył wszystkie morele: brakowało trzech.

Ojciec potrząsnął głową, wiedział już, kogo mógł posądzać, bo nieraz synek jego Antoś zrywał owoce kryjomo. Jednak, przyszedłszy do domu,

odmienił zdanie; Antoś siedział przy matce, a na zapytanie: którędy chodził do szkoły, ulicą, czy ogrodem, odpowiedział, że ulicą.

— Nie zrywałeś też czasem trzech moreli? — spytał ojciec.

— Już ich od dwóch dni nie widziałem — odrzekł śmiało chłopczyk — bo nie miałem czasu wyjść do ogrodu.

Skończyła się na tem rozmowa, obiad szedł spokojnie, a po obiedzie, ponieważ było bardzo gorąco, Antoś, idąc do szkoły, zdjął sukienną kurtkę i włożył lżejszą.

Matka wiedząc, że kieszenie ucznia częstej potrzebują naprawy, zaraz po odejściu syna wzięła jego kurtkę, aby się przekonać, czy niema dziury,

i w bocznej kieszeni znalazła trzy świeżo wyjęte morelowe pestki.

Za powrotem Antosia, ojciec spytał go surowo:

— Dlaczego kłamałeś? dlaczego, dopuściwszy się kłamstwa, nie przyznałeś się do winy?

Chłopczyk chciał się zapierać, lecz ojciec i matka rzekli:

— Mamy świadków.

— Świadków?

— Tak, sięgnij ręką do tej kieszeni.

Antoś sięgnął i zapłoniony wydobył nieszczęsne pestki, które w zapomnieniu sam schował do kieszeni.

— Niech cię to nauczy — rzekli rodzice — że prawda nie tylko przed Bogiem, lecz nawet i przed ludźmi

nigdy się nie ukryje, lecz prędzej czy później, zawsze się wyda. Staraj się więc nigdy nie kłamać.

6.

ŻÓŁTY NOSEK.

Ludka, ładniuchna dziewczynka, wiedziała o tem, że jej Bóg piękną dał twarzyczkę; lecz zamiast Mu za to dziękować, pyszniła się tylko i sobą jedynie była zajęta. Najbardziej lubiła przeglądać się w zwierciadle, a kiedy bracia i siostry czytali lub słuchali uważnie mamy, opowiadającej o różnych zwierzętach, kwiatach, robaczkach, żyjących na Bożym świecie, Ludka myślała nad tem, jakimby paskiem białą przewiązać sukienkę, jak jasne włoski zaczesać.

Pewnego razu biegła do ogrodu, a nabiegawszy się napróżno za motylami, siadła zmęczona pod drzewem; spojrzy na pień jego, aż tu wśród mchu ukryty śliczny świecący się robaczek.

— O! ten mi już nie ucieknie! — rzekła Ludka do siebie i chwyciła rączkami ładnego sąsiada.

— Nie, nie puszczę — mówiła figlarnie, patrząc, jak drobna istotka siliła się wymknąć z pomiędzy jej paluszków; i w rzeczy samej, choć Ludka była ostrożną, jednak zręczny robaczek przecisnął się maleńką szparką, a w ręku Ludki pozostała woń brzydka i odrażająca. Dziewczynka bowiem nie wiedziała jeszcze o tem,

że tak ładne na pozór kantarydy tak niemiłą woń wydają.

Markotna Ludka poszła do stawu, chcąc się obmyć; lecz próżno pluskała się w przejrzystej wodzie, nie mogła się pozbyć przykrego zapachu.

Wtem nad brzegiem wody spostrzega białe lilje, podbiega ku nim, chwyta śliczny biały kwiat rączkami i nosek, zrażony wonią kantarydy, w pachnący kielich zatapia z radością.

Nasyciwszy się miłą wonią lilji, wsunęła rączki w kieszenie fartuszka i poszła żwawo ku domowi, bo też była właśnie obiadowa godzina. Ale wśród ogrodu spotyka ją młodsza siostrzyczka i, popatrzywszy na nią przez chwilę, głośnym śmiechem wybucha.

— Cóż tam tak śmiesznego? — zapytała Ludka.

— Nic, nic — odrzekła, śmiejąc się siostrzyczka, i pobiegła ulicą, gdzie się bracia bawili. Niedługo wróciła z nimi, i wszyscy troje, spojrzawszy na twarz Ludki, wesoło śmiać się zaczęli.

Zasępiła się dziewczynka i rzekła niemile:

— Bardzo proszę, zaprzestańcie tych śmiechów, bo doprawdy powiem mamie.

— O! o! — rzekł z udaną pokorą starszy braciszek — daruj nam, księżniczko ze złotym nosem, że się widokiem twego oblicza tak cieszymy.

Ludka poglądała niespokojnie na

małych figlarzy, lecz oni, nie przestawali żartować.

— Widzisz — mówił brat drugi — nieraz ci mama mówiła, że to źle kochać się w swojej twarzy; nie słuchałaś, otóż ci nos ozlocial dla większej ozdoby.

Przelękniona Ludka schwyciła się za nosek, lecz brzydki zapach kantarydy zalecial ją natychmiast, a na paluszkach pozostał żółty proszek, którego śladów zetrzeć nie było można.

Z płaczem pobiegła do domu a przejrzawszy się w zwierciadle, zakryła twarz rękami i głośno wyrzekać zaczęła.

— Biednaż ja, biedna! nikt na mnie patrzeć, nikt ze mną bawić się nie

będzie; takam brzydka, i tak szkaradny zapach czuć ode mnie.

Pocieszyła ją matka, zapewniając, że za kilka godzin i rączki wywietrzeją, i nosek się oczyści; lecz dodała:

— Gdybyś była słuchała com braciom i siostrze opowiadała, nie chwytałabyś ładnego robaczka i nie byłabyś się tyle nabawiła przykrości. Wiedz przytem, moja Ludko, że z piękności chlubić się nie trzeba, bo ta prędko zniknąć może.

7.

FELUŚ.

Zimno było, śnieg padał płatami, koła u pojazdu skrzypiały od mrozu; mały Feluś, otulony płaszczykiem, biegł do szkoły, trzymając pod jedną ręką książki, a w drugiej ściskając dziesiątkę, którą dostał od matki na śniadanie. Wtem na rogu ulicy zobaczył staruszkę, drżącą z zimna. Biedna babka prosiła o wsparcie jakiejś porządnie ubranej kobiety, ale ta nic nie dała jej i poszła dalej. Żal się Felusiowi zrobiło: przystąpił do staruszki i oddał jej swoją

dziesiątkę, a potem szybko do szkoły pośpieszył.

Tymczasem jakiś pan, idący naprzeciw niego, widział postępek chłopczyka; zatrzymał go i spytał, co robił przy staruszce? Feluś zarumienił się i spuścił oczy.

— Nie rumień się — rzekł pan — dałeś jej pieniądze, to dobrze; ale wiele?

Dziesiątkę — odpowiedział Feluś — bo nie miałem więcej.

— Oto ją masz z powrotem — rzekł pan, dając chłopczykowi złotówkę.

Feluś nie chciał przyjąć tego daru, ale gdy pan nalegał, wziął złotówkę, podziękował za nią i poskoczył ku staruszce, siedzącej jeszcze na rogu

ulicy, a oddając jej pieniądze i wskazując na nieznajomego, rzekł:

— To od tego pana.

Poczem spokojnie poszedł do szkoły, gdzie pewnie dobrze się uczył: bo kto dzień zacznie od dobrego czynu, temu wszystko dobrze i łatwo idzie.

8.

CIEKAWOŚĆ.

Matka Florusi zaprosiła gości na obiad. Już uprzątnięto pokoje, poubierano dzieci; Florusia w ślicznej różowej sukience, w muślinowym fartuszku, chodziła po pokojach, a że bardzo była ciekawa zaglądała na okna, chcąc wiedzieć, jakie kwiaty poustawiano w jadalnym pokoju; przeliczyła, na ile osób nakryto, zajrzała do kredensu, jakich ciast kupiono, nakoniec wyszła do kuchni, by się dowiedzieć, co będzie na obiad. Kucharka zajęta przyrządzaniem po-

traw, nie była w dobrym humorze i na zapytanie Florusi odpowiedziała: »Jak będzie na stole, to się panienka dowie«. Odeszła Florusia, ale korciło ją, żeby się koniecznie o obiedzie dowiedzieć: upatrzyła zatem, jak kucharka wyszła na podwórze i, przystawiwszy sobie stołeczek do komina, poczęła w garnki zaglądać.

Na samym brzegu stała zupa rakowa, dalej potrawa z kaczek, w rondlu rumieniła się legumina, a tłusty indyk piekł się na rożnie. Florusia, połknąwszy ślinkę, pomyślała sobie: »Doskonały dziś będzie obiadek«! Tymczasem usłyszała wracającą kucharkę, chciała żwawo zejść ze stołeczka; lecz nieszczęściem zaczepiła rękawkiem o trzonek od rondelka,

w który jeszcze nie była zajrzała, i szara podlewa do indyka z rodzenkami i migdałami spłynęła na fartuszek i różową sukienkę.

Szczęściem to jeszcze, że się Florusia nie sparzyła; ale całe ubranie zostało zniszczone, innego nie było na pogotowiu, w codziennej niebardzo już czystej sukience nie ładnie się było pokazać; tak więc mała ciekawska, lubo się dowiedziała, co będzie na obiad nie jadła go przy stole; w dziecinnym pokoju czekać musiała, aż jej podano potrawy, a co gorsza: po obiedzie, kiedy jej bracia i siostry z matką i gośćmi poszli do ogrodu, ona sama jedna w domu zostać musiała.

9.

SUMIENIE.

Uważna Kostusia słyszała raz, jak mówiono o grzechu, i jak to go się wystrzegać należy; przyszedłszy do matki, spytała:

— Co to jest grzech mamuniu? jabym go nie chciała nigdy popełnić, ale jak go poznać?

— Grzechem jest to wszystko, czegobyś nie śmiała zrobić przy mnie, ani przy nikim starszym.

— Ale jeżeli jestem sama?

— Spytaj się sumienia.

— Gdzież jest sumienie?

— U ciebie w serduszku. Pomyślno tylko, czy, kiedy zrobisz co bardzo dobrego, nie czujesz, że coś ci szepcze do uszka: — Tak dobrze, tak Pan Bóg każe; tak mama lubi; jak to dobrze, że tak zrobiłam!

— O, prawda, mamo! tak jakby mię kto chwalił pocichu.

— A kiedy źle postąpisz, czy wtenczas nic nie słyszysz?

— Ach! wtenczas, mamuniu, to mi tak serce bije, tak się czegoś lękam i wstydzę, chociaż nikt na mnie nie patrzy.

— Uważaj więc zawsze na to: kiedy chcesz co uczynić, a nie masz się kogo poradzić, połóż rękę na sercu i spytaj: — Czyby się mama o to

nie gniewała? sumienie ci zaraz odpowie.

Nazajutrz po tej rozmowie, Kostusia poszła do ogrodu; kilka dojrzałych gruszek, spadło z drzewa i leżało na trawie. Kostusia podniosła jedną z nich i zbliżyła do ust; miły zapach uderzył jej nosek, przez cienką, rumianą skóreczkę znać było, jaka soczysta, jaka smaczna ta gruszka być musi, ale kiedy dziewczynka miała już w nią ząbki zatopić, przyszło jej na myśl poradzić się sumienia. Czyby się też mama o to nie gniewała? spytała, kładąc rączkę na sercu. A sumienie odpowiedziało jej:

— Mama ci sama dość wszystkiego daje: nie jedz bez pozwolenia.

Kostusia zebrała gruszki w fartu-

szek i poniosła je matce, która pochwaliwszy córkę, oddała jej wszystkie i pozwoliła niemi rozporządzać.

Dziewczynka rozdała po jednej gruszce braciszkom i jedną sama zjadła. Jak jej też smakowała! Bo ją zjeść mogła ze spokojnem sumieniem!

10.

BABUNIA.

Józio, Tercia i Olesia, nie tylko kochali rodziców swoich i byli im posłuszni, ale dla starej babuni swojej okazywali wielkie uszanowanie i względy; zawsze przy niej zachowywali się grzecznie i starali we wszystkiem jej dogodzić.

Raz po obiedzie babunia usiadła pod drzewem w ogrodzie i zaczęła robić pończoszkę, dzieci zaś tymczasem bawiły się na trawniku, spoglądając często na staruszkę, czy jej czego nie potrzeba. Niedługo jednak

poszły sobie do domu. Zdziwiona babunia podniosła się, by spojrzeć za niemi, ale biedna, słabowita staruszka poczuła nagle, że, trzymając długo nogi na wilgotnej ziemi, dostała w nich jakiegoś odrętwienia; w ramionach także, od opierania się o twardy pień drzewa, doznała trochę bólu, a zwróciwszy oczy ku ulicy, którą dzieci odeszły, spostrzegła, że słońce w samą twarz jej świeciło. Ale to, co babunia teraz dopiero poznała, od dawna dobre wnuczki przewidziały; bo w tejże chwili przybiegł Józio, niosąc wygodny stołeczek pod nogi, za nim Tercia dźwigała haftowaną poduszkę, by się babcia wygodnie oprzeć mogła, a Olesia podała wielki słomiany kapelusz, by ją od

słonecznych promieni zasłonić. Babunia mile przyjęła przysługę dobrych wnucząt, a wzniósłszy ręce nad ich główkami, prosiła Boga, by ich w całem życiu strzegł i błogosławił.

11.

ŁAKOMY STASIO.

Mały Staś, jak wszystkie dzieci, lubił przysmaczki, ale też niezawsze uważał, jakimby je dostać sposobem: bo, choć wiedział, że mama tego nie lubi, prosił ją i uprzykrzał się, żeby mu koniecznie co dobrego do jedzenia dała; to przychlebiał się służącej, często nawet zamieniał z innemi dziećmi zabawki i książeczki na łakotki.

Raz mama dała mu koszyczek śliwek winogron, mówiąc:

— Mój Stasieczku, idźże przez ogród aż do dworku, w którym ciocia mie-

szka, oddaj jej ten koszyk ode mnie; ale idź grzecznie, prędko i ostrożnie, a zobaczysz, że tego żałować nie będziesz.

Staś wziął koszyczek i poszedł ogrodem; ale ogród był długi, a po obu stronach ulicy gięły się śliwkowe drzewa pod ślicznemi węgierkami, renglodami i mirabelami. Stasiowi aż ślinka szła do ust na widok owoców, ale pamiętny przestrogi matki, szedł grzecznie i prędko. Wkrótce jednak zdało mu się, że się zmęczył nieco, szedł więc wolniej, przypatrując się śliwkom i myśląc, że przecież patrzeć to nic nie szkodzi. W połowie ulicy zwiesiła się gałązka i, jakby na pokusę Stasiowi, na samym jej końcu błysnęła dojrzała rengloda.

Staś zatrzymał się i, nie myśląc wiele, wyciągnął rączkę, zerwał renglodę i wnet tylko pestka upadła na ziemię. Rengloda była smaczna, Staś zapragnął drugiej, ale druga rosła wyżej; trzeba było podskoczyć, a z koszyczkiem to trudno: postawił zatem koszyk na ziemi i, uczepiwszy się gałęzi, chciał zerwać soczysty owoc: ale i cóż stąd?... chociaż na gałązce renglody bezpiecznie bujały, dla Stasia za słaba to była podpora; gałąź się urwała, i mały łakotniś padł na wilgotną ziemię. Nie stłukł się, bo miękko było, ale niebieska sukienka całkiem się zabłociła: nie można tak iść do cioci.

Staś, żałując, że nie usłuchał mamy, poszedł smutnie w boczną ulicę

i usiadł sobie w altanie, myśląc: poczekam trochę, a jak sukienka wyschnie, wykruszę błoto i pójdę dalej.

Siedzi, czeka, a tymczasem pogląda na winogrona, które sobie z koszyczkiem na stole postawił. Jak też ciocia cieszyć się będzie! myśli sobie: bo też muszą być przedziwne... Ach, gdyby ich skosztować? ale nie, już i tak z tą renglodą źle zrobiłem.

Schwycił koszyczek i wybiegł z altany, żeby go czemprędzej odnieść; ale sukienka jeszcze nie wyschła, Staś szedł po malu, a łakomstwo tymczasem szeptało mu do uszka: »Skosztuj tylko jedną jagódkę, przecież nikt nie pozna«. Stasio po jednym wypadku powinien się był strzedz łakomstwa i nieposłuszeństwa, ale

zapomniał o wszystkiem: sięgnął do koszyczka, a wyjąwszy najmniejsze gronko poniósł je do ust.

— Ach, mój Boże! — krzyknął nagle. Okropny ból uczuł w języku, wypuścił grono, przelękniony biegł już co sił do cioci, otworzywszy usta, bo mu język puchł i bolał go ciągle... I nic dziwnego, w winnem gronie, którego Staś chciał skosztować, ukryła się osa i siedziała właśnie w tem ziarnku, które biedny chłopczyna wziął w buzię.

Przybiegłszy do cioci, Staś z bólu i przelęknienia nic mówić nie mógł, ale ciocia zobaczywszy spuchnięty język i koszyk owoców, domyśliła się wszystkiego: Wyjęła mu żądło, które złośliwa osa wypuściła, dała

mleka z miodem, ale nie tak prędko ból ustał, a tymczasem do cioci zbiegła się gromadka dzieci z sąsiedztwa; zastawiono stoły ciastem, śmietaną, owocami, bo dobra ciocia chciała Stasiowi milą sprawić niespodziankę, zapraszając na ten dzień małych jego przyjaciół. Każdy, pożałowawszy trochę łakomca, wziął się do jedzenia i zabawy, on tylko jeden siedział smutnie w kąciku, patrząc na wesołość innych, i przyrzekał sobie, że nigdy już łakomy nie będzie. Dotrzymał też słowa, bo, ile razy chciał skosztować czego pokryjomu, przypominał sobie osę i czemprędzej zamykał usta, by go nowe nie spotkało nieszczęście.

12.

PRACOWITA DZIEWCZYNKA.

Grzeczna Frania, ukończywszy naukę, lubiła siąść przy mamie i zająć się jaką robótką; mama pokazywała jej chętnie, jakim sposobem co robić należy, i w krótkim czasie Frania nauczyła się szyć, znaczyć bieliznę, robić pończoszki a nawet wydziergała sobie falbankę do konierzyka. Raz, kiedy Frania dokończyła zadanej przez mamę roboty, mama jej rzekła:

— Dość już na dziś, kochanie: idź sobie teraz, pobiegaj po ogrodzie.

— Pozwól mi jeszcze posiedzieć przy sobie, mamo kochana — odpowie Frania — całe rano biegałam, a teraz chciałabym obrąbić tę chusteczkę dla starej Janowej; ona już sama nie dowidzi, a to brzydko nosić coś ze strzępami.

— I owszem, Franiu, cieszę się nawet, żeś uprzejma i usłużna dla innych.

Frania obrąbiła chusteczkę; mama znów jej mówi:

— Idźże się pobaw teraz.

— Dobrze, mamuniu — rzekła dziewczynka — i uściskawszy matkę, pobiegła do ogrodu, gdzie z pewnością wesoło się bawiła.

Uważajcie, dziatki, jak Frania pię-

knie rozłożyła sobie zajęcia: najprzód powinność, potem przysługa, dopiero naostatku własna zabawa.

13.

BAJECZKA.

Dzieci uczą się wierszyków i bajeczek, ale na co? czy na to, żeby je gościom gładko wypowiedzieć? Oj! nie na to, zobaczycie.

Maleńka Zosia nauczyła się bajeczki o Tadeuszku, co muszki do flaszki wsadzał. Zosia powtarzała ją nieraz mamie, tatusiowi, gościom, ale nikt nie wiedział, jak Zosia dobrze zrozumiała tę bajeczkę. Pewnego dnia ciocia skarżyła się na głowę i położyła na kanapie; dzieci bawiły się

w tym samym pokoju, a malutki Kazio popychał krzesła przed sobą i wołał »wio!«, jak na koniki. Zosia mówiła wprawdzie kilka razy: »Cicho, Kaziu!« ale swawolny chłopczyk nie zważał na tę przestrogę i hałasował coraz bardziej. Rozsądna siostrzyczka idzie więc do brata, bierze go za rączkę i, zmuszając tym sposobem chłopczyka do uwagi pyta:

— Powiedz mi, Kaziu, czybyś ty lubił, gdyby ci kto spać nie dawał?

— Nie lubiłbym!

— A widzisz, to nie czyńże drugiemu tego, co tobie niemiło: ciocię główka boli, ciocia chce spać, a ty jej nie dajesz!

Kazio zrozumiał, przestał suwać krzesłami i odtąd, ile razy chce się

głośniej bawić przy starszych, pyta, czy kogo głowa nie boli.

Widzicie więc, dziateczki, na co się bajki przydadzą — żeby pamiętać nauczkę, którą każda z nich zawiera, i żeby ją w potrzebie zastosować.

14.

DOTRZYMUJ SŁOWA.

Kto chce, żeby mu wierzono, powinien jak najściślej dotrzymywać danego słowa; dlatego też nie należy nic bez namysłu przyrzekać, bo lepiej nie obiecywać, niż nie dotrzymać.

Znałem pewnego chłopczyka, którego chciałbym, żeby wszystkie dzieci naśladowały. Sewerynek tak był słowny, że choćby przyrzekł komu najtrudniejsze rzeczy, zawsze mu wierzono; jeżeli naprzykład obiecał któremu z kolegów, że przyjdzie do niego, by

się wspólnie uczyć na dzień następny, to pewnie przyszedł, choćby była słota, choćby go gdzieindziej na zabawę lub przechadzkę proszono.

Raz Sewerynek dostał od ojca książkę z ślicznemi powieściami i obrazkami; czytał ją z ciekawością i nadzwyczaj się nią cieszył; przyjaciel jego, Tomcio, zobaczywszy tę książkę, prosił o jej pożyczenie.

— Dobrze — rzekł Sewerynek — niewiele mam już doczytać, przyjdź we czwartek, to ci jej pożyczę.

Tymczasem przed czwartkiem jednego dnia byli goście, drugiego dnia matka wzięła Sewerynka do miasta; chłopczyk nie mógł doczytać książki, a nawet stanął w połowie bardzo zajmującej powieści. Jednak

kiedy we czwartek Tomcio przybiegł po książkę, Sewerynek pożyczył mu jej natychmiast, nie mówiąc nawet, że jej sam jeszcze nie skończył.

Niedługo potem Tomcio, dowiedziawszy się, jaką przyjaciel dla niego zrobił ofiarę, chciał się za to odwdzięczyć i przyrzekł, że jak tylko podrosną dwa małe kanarki, które matka mu darowała, zaraz mu je przyniesie.

— Ciesz się, Kaziu! — rzekł Sewerynek do siostry — dostanę dwa kanarki i podzielę się nimi z tobą: tobie dam jednego, drugiego sobie zostawię.

Lecz Tomcio nie mógł ściśle dotrzymać przyrzeczenia, gdyż jeden z młodych kanarków zadławił się

ziarneczkiem siemienia, i Sewerynek jednego tylko dostał ptaszka. Wierny danemu słowu, poniósł go zaraz do siostry i oddał jej, prosząc tylko, by mu się czasem z nim pobawić pozwoliła.

Jak wam się podoba ten postępek Sewerynka, — i czy jesteście do niego podobni?

Kupno na jarmarku.

15.

KUPNO NA JARMARKU.

W pewnem miasteczku odbywał się jarmark. Cesia i Józio prosili rodziców, by im pozwolili pojechać tam z ciocią, bo za uzbierane pieniądze chcieli sobie kupić zabawek i przypatrzyć się zgromadzeniu tylu ludzi. Otrzymawszy pozwolenie przeliczywszy pieniądze, wyjechały uszczęśliwione dzieci. Cóż to za radość, gdy stanęli w miasteczku: ludzi pełno, kramów mnóstwo, a w nich takie śliczne rzeczy.

Józio, prędki, żywy, co tylko zobaczył, chciał kupować: tu mu się podobał konik skórzany, tu blaszany pałasik, tu trąbka, w ślimaka skręcona; kupował jedno po drugiem, póki mu pieniędzy starczyło, a gdy już nic nie było w woreczku, nie chcąc dalej patrzeć na to, czego mieć nie mógł, rzekł do siostry:

— No! śpiesz się, Cesiu, ze swymi sprawunkami, bo czas do domu.

— Zaraz, zaraz — odrzekła Cesia — widzisz, kupiłam już grzebień dla Marysi, wstążkę do czepka dla Tomaszowej i grzechotkę dla jej chłopczyka; boć i im trzeba przywieźć gościniec z jarmarku, ale jeszcze nic nie mam dla siebie. Poradź mi, Józieczku, co mam kupić, czy

lalkę, czy gospodarstwo, czy jeszcze co innego?

— Kup lalkę, zrobisz jej amazonkę: ja pożyczę jej czasem konika: zobaczysz, jak ślicznie jeździć będzie.

Kiedy tak rozmawiali, mały chłopczyna, ubogo ubrany, przeciskał się przez natłok; wtem wieśniak jakiś, obracając się nagle, wytrącił mu łokciem flaszeczkę, którą niósł w ręku. Głośno i rzewnie zapłakał chłopczyna, a załamując ręce, wyrzekał gorzko.

Obstąpili go ludzie, wypytując ciekawie, coby za szkodę poniósł.

— O! wielką, wielką! niosłem dla matki flaszkę z lekarstwem i ta mi się stłukła.

— No! cóż robić — mówili ludzie — to idź do aptekarza, niech ci da drugą.

— A za cóż? pieniędzy nie mam.

— Wróć po nie do domu.

— Milę drogi, mój Boże! kiedyż to będzie! a doktór tak się spieszyć kazał, i... — dodał ciszej — któż wie, czy tam w domu są jeszcze pieniądze na drugą!...

Cesia słuchała wszystkiego w milczeniu, poczem zbliżyła się do chłopczyka i spytała:

— Wieleż to lekarstwo kosztowało?

— Trzy złote i groszy dwadzieścia, panienko — odpowiedział chłopiec.

Cesia sięgnęła do woreczka, odliczyła pieniądze i, wsunąwszy je w rękę biedaka, zawróciła ku kramom, by nie słyszeć, jak jej dziękował. Za resztę pieniędzy kupiła sobie igieł

i paczkę pierników i, wesoła, szczęśliwa, wróciła do ciotki.

Po powrocie do domu, Józio porozstawiał swoje zabawki na stole, a matka, oglądając każdą, pytała o cenę i wkońcu rzekła:

— Znać, żeś prędki, o połowę poprzepłacałeś wszystko. A Cesia?

Dziewczynka pokazała swoje małe sprawunki.

— Ale — rzekła matka — cóż kupiłaś dla siebie? czy nic więcej, tylko te pierniczki?

Cesia zarumieniła się, a Józio zawołał:

— O! kupiła jeszcze flaszkę lekarstwa.

— Cóż to znaczy?

Tu Józio opowiedział wszystko,

a matka, z rozczuleniem całując dziewczynkę, rzekła:

— Tak czyń zawsze, Celino, zabawa przeminie, ale błogosławieństwo ludzkie i Boskie na całe życie zostanie.

16.

KWIATY JABŁONI.

Wiosną, Marynia z matką poszła do ogrodu; nachodziwszy się do woli, poczęła z pozwoleniem matki zrywać kwiaty do bukietu. Już miała kilka wonnych narcyzów, świeżej rezedy kilka gałązek, fijołków skromnych parę, i ładny bratek, i świetny tulipan, nawet pyszna czerwona piwonja w spory się pęczek wmieszała, gdy nagle, podnosząc oczy, ujrzała drzewko, które choć mało listeczków miało, jednakże gęsto było pokryte drobnem bladoróżowem kwieciem.

— Zerwij mi, mamuniu, taką gałązkę do mego bukietu! — prosiła Marynia.

— Chętnie, dziecię moje — odrzekła matka — ale wiedz, że to jest kwiat jabłoni; z każdego takiego kwiatka wyrośnie piękne, rumiane jabłuszko: o ile więc teraz zerwiemy kwiatu, o tyle w jesieni mniej owocu będzie.

— O! to nie rwij, mamuniu! wolę ja na jabłuszka poczekać, — zawołała Marynia.

Jak wam się podoba Marynia? i czy umiałybyście być tak cierpliwemi?

17.

CHCIAŁBYM BYĆ STANGRETEM.

Marcinek, dobry chłopaczek, miał przecież jedną wadę: nie chciało mu się uczyć. Wprawdzie, lubo z wielkim mozołem, nauczył się trochę czytać i pisać, ale też dalej ani na krok nie szła nauka. Kiedy mu ojciec wymawiał lenistwo, kiedy go nakłaniał, by się tego lub owego uczył, Marcinek niedbale pytał:

— Na cóż mi się to przyda? czyż bez nauki żyć na świecie nie można?

— Zapewne, że można — odpowiedział ojciec — ale wiesz przecie, że

każdego Bóg stworzył do pracy, że grzechem jest żyć sobie wygodnie na świecie i nic nie robić.

— Prawda — odpowiedział Marcinek — ja też wolę pracować, niż się uczyć.

— Nauka także jest pracą — rzekł ojciec — ale kiedy jej tak nie lubisz, powiedzże, czem ty będziesz, gdy dorośniesz?

— Czem? o! wiem ja dobrze! gdyby tylko tatunio pozwolił.

— No, przecież?

— Oto chciałbym być stangretem.

Uśmiechnął się ojciec, a Marcinek, chcąc go przekonać, że żądanie to śmiesznem nie było, mówił dalej:

— Bo co to za miłe życie! cały dzień siedzieć na koźle, trzaskać z bi-

cza i kierować końmi, a ja tak konie lubię! Przytem można sobie i spocząć; uważałem dobrze na tego woźnicę, co przywozi lekarza do sąsiedniego domu: on nieraz przez pół godziny siedzi z założonemi rękami oczekując na pana.

Ojciec nic już nie mówił, ale w kilka dni potem, kiedy zasępiło się niebo i deszcz strumieniami lać począł zawołał Marcinka do okna. Właśnie znany im lekarz zajechał przed dom, w którym bywał codziennie, a woźnica, nasunąwszy czapkę na uszy, podniósł kołnierz od płaszcza, ręce schował w rękawy, i czekał na pana, tylko się czasem z ulewy otrząsał.

— Nieprawdaż, Marcinku — spy-

tał ojciec — że to wygodnie być stangretem?

— O! w słotę i zimno — odrzekł chłopczynka — to niebardzo, ale przecie niezawsze deszcz pada!

Ojciec umilkł znowu, ale w kilka dni rzekł do syna:

— Prosi mnie doktór B. dziś na obiad: wezmę cię z sobą.

Łatwo sobie wystawić, jak się Marcinek ucieszył. Wybrali się dość wcześnie, żeby na nich zmęczony pracą gospodarz nie czekał, i przybyli wprzód jeszcze, nim on powrócił do domu. Ale niedługo czekali na niego, po przywitaniu, nim podano do stołu, ojciec Marcinka rzekł do lekarza.

— Mój przyjacielu! mój syn bardzo lubi konie, a nie ma sposobno-

ści widzenia ich z blizka; pozwól mu też zejść do stajni i napatrzeć im się do woli.

Służący sprowadził chłopczyka do stajni, a ten, napatrzywszy się koniom, pogłaskawszy z nich jednego, wszedł w rozmowę z woźnicą, który, zdjął płaszcz przemokły i krzątał się koło uporządkowania wszystkiego.

— Czemu sobie nie spoczniecie? — zapytał.

— A toć koniom trzeba dać jeść i pić.

— Ale już daliście?

— To je trzeba z błota oczyścić, bo nie zdrowo tak stać w błocie i wilgoci.

— A jak to zrobicie, to już i skończona robota?

— Oho! daleko jeszcze! trzeba stajnię uprzątnąć, powóz umyć i zatoczyć do wozowni, zaprząg oczyścić; ho! ho! nieraz to się i do nocy zwlecze, ledwie jest czas się posilić.

Marcinek wrócił do pokoju, ale ani w czasie obiadu, ani przez drogę do domu nie unosił się nad szczęściem woźnicy, a gdy go ojciec zapytał, czy chciałby być stangretem, potrząsnął głową i rzekł z cicha:

— Nie!

— Widzisz, synu! — powiedział ojciec — każdy stan ma miłą i przykrą stronę; tak i z nauką: trudno ją nabyć, ale miło, potem, używać jej na dobro swoje i innych ludzi; im więcej wiadomości kto posiada,

tem użyteczniejszym może być na świecie, a przez to więcej i szczęścia doznaje.

18.

ZBYTNI PORZĄDEK.

Kasia za grzeczność i pilność dostała od mamy prześliczną lalkę, która miała zgrabne rączki z palcami, nóżki w prawdziwych trzewiczkach, ładne sukienki, a nadewszystko tak piękną twarzyczkę, jaką trudno znaleźć u lalek; bo też cała maseczka z wosku była zrobiona, a takie zawsze od porcelanowych piękniejsze.

Matka, oddając lalkę Kasi, ostrzegła ją, że się z nią ostrożnie bawić należy, że gdyby upadła, jużby po niej było.

Kasia porządna, uważna, przez długi czas bawiła się swoją Malcią (tak nazwała laleczkę), ubierała i rozbierała ją codzień, kładła ją spać, uczyła lekcyi, słowem, tak z nią postępowała, jak widziała, że matka z nią samą postępuje i nie było jakoś żadnego przypadku. Ale raz przyszła do Kasi znajoma dziewczynka, Andzia, i poczęły się bawić obie.

Gdy przyszło do ubierania, Andzia rzekła:

— A to ślicznie, Kasiuniu, swoją córeczkę prowadzisz! czyż ona się przed ubieraniem nie myje?

— Ach! to prawda! — odpowiedziała Kasia — przez tak długi czas musiała się zabrudzić, a jeszcze jej nie myłam! ależ bo ona taka delikatna.

— O! nie bój się — rzekła Andzia — umyjemy ją lekko, a zimna woda nikomu nie szkodzi.

I dalejże obie porządnickie zaczęły cienką chusteczką obmywać woskową buzię. Ślicznych się rzeczy doczekały! z różowej twarzyczki lalki znikały rumieńce, przyćmiły się oczki niebieskie, zbladły różane usteczka: biedna Malcia okropnie wyglądała.

— Ach! mój Boże! — krzyknęła na ten widok przestraszona Kasia — cóżeśmy zrobiły?

— Nic to, nic — rzekła przytomna Andzia — ona taka delikatna, przeziębła pewnie od zimnej wody; rozgrzejmy ją przed piecem, to przyjdzie do siebie.

Dobra rada! Kasia doświadczała

nieraz, że kiedy jej z zimna zbladła lub zsiniała twarzyczka, to przy ciepłym piecu wkrótce kolory wracały; posadziła więc Malcię przed piecem, w którym właśnie jasny ogień świecił, i zawróciła się po cieplejsze dla niej ubranie. Ale jakiż żal i smutek ścisnął jej serduszko, gdy wróciwszy znalazła Malcię bez głowy, tylko na jej sukience pozostała struga stopniałego wosku.

Nie pomogły wyrzekania i gorzkie łzy Kasi, nie wróciła już śliczna woskowa maseczka, a choć matka kupiła Kasi inną główkę dla Malci, dziewczynka ze smutkiem poglądała na nią, i nieraz sobie mówiła:

— Oj! źle to, źle słuchać każdej rady, nie zastanowiwszy się nad nią.

19.

KŁADKĄ.

Gromadka dzieci bawiła się na dziedzińcu przy drodze, to w ślepą babkę, to w cztery kąty, to w gotowalnię; nakoniec chłopcy wyciągnęli z kąta długą i szeroką deskę, położyli ją na pieńku od rąbania drzewa i zrobili doskonałą huśtawkę, na której bujając się po kolei, wszystkie dzieci radośnie wychwalały szczęśliwy pomysł tak miłej zabawy.

Gdy się tak cieszą, Krysia spojrzała przez sztachety na drogę i spostrzegła bladego, zmęczonego starca,

Kładka.

który, stojąc na drugiej stronie, smutnie spoglądał na rów szeroki, pełen wody z niedawnego deszczu, który go od bitej drogi oddzielał. Starzec był biedny, łatana sukmana, kij w ręku i sakwy na plecach świadczyły, że to żebrak; stał nad rowem i namyślał się, czy przejść i zamoczyć się, czy obejść polem aż do końca wioski, gdzie dla wygody wszystkich urządzono drewniany mostek. Ale droga była daleka, a on tak się czuł zmęczonym! A przez rów, to, pominąwszy zamaczanie, przy słabych siłach swoich nie przebrnąłby go bez cudzej pomocy.

Krysia zrozumiała to wszystko, bo dobre dzieci domyślne mają serca, kiedy idzie o pomoc biednemu; od-

wróciła się żwawo do młodych przyjaciół, mówiąc:

— Teraz na mnie kolej huśtawki!

— Prawda: siadaj, Krysiu!

— Ale ja się huśtać nie będę, tylko was proszę, pozwólcie mi tej deski na krótką chwileczkę.

— Cóż z nią zrobisz?

— Zobaczycie!

I rącza dziewczyna schwyciła deskę z pieńka, a wlokąc ją całemi siłami, przyszła aż nad rów, przy którym żebrak stał jeszcze, i chciała ją jednym końcem na drugą przełożyć stronę; ale sił tyle nie miała.

Myślicie może, że się nie udał dobry zamiar Krysi? — owszem! Cała gromadka dzieci posunęła się do niej, i położono na rowie kładkę. Młodzi

robotnicy przeszli na drugą stronę, dwoje z nich prosiło żebraka, by im sakwy swoje przenieść pozwolił, jedno wzięło kij sękaty, a Krysia, ująwszy starca za rękę, przeprowadziła go na drogę.

Wzruszony żebrak ukląkł na gościńcu i ze łzami w oczach błagał Boga o błogosławieństwo dla dobrych dzieci, a bardziej jeszcze wzruszony, ich ojciec, który z okienka patrzał na wszystko, co zaszło, w tem samem miejscu kazał postawić mostek z poręczami dla dogodności biednych wędrowców, i mostek ten po dziś dzień zowie się kładką Krystynki.

20.

SCYZORYK.

Antoś, jak wiele dzieci, to najlepiej lubił, czego mu zakazywano; nieraz ojciec mawiał:

— Antosiu! nie baw się scyzorykiem, bo się nim skaleczyć można.

Antoś nic nie odpowiedział, ale myślał sobie w duszy:

— Już mnie też tatko za wielkiego ma niezgrabiasza, kiedy mi nawet scyzoryka dotknąć nie pozwala!

Pewnego razu, kiedy ojciec wyszedł z domu, swawolny synek wsunął się do jego pokoju, siadł na krze-

śle przed stolikiem, rozparł się wygodnie i rzekł:

— Co mi za wielka rzecz taki mały nożyk wziąć w rękę: otóż ja się przekonam i pokażę tatce, co nim zrobić potrafię.

Rozejrzał się dokoła, coby takiego można zrobić scyzorykiem, a ponieważ nie znalazł żadnego patyczka, więc przyszło mu do głowy, że potrafi bardzo ładnie wyrżnąć litery tatusia na biurku. Najpierw końcem scyzoryka narysował A. T., a potem zaczął dłubać i wykrawać.

Przy tej pięknej robocie obsunął mu się łokieć, scyzoryk pomknął dalej, prosto w środek dużego palca lewej ręki.

Krew trysnęła na biurko i papiery,

Antoś krzyknął z przestrachu, a w tejże chwili do pokoju wszedł tatuś z dużem pudełkiem.

Śliczne rzeczy zobaczył: Antoś blady z ręką skrwawioną, poplamione ważne papiery, zniszczony sprzęt — możemy sobie wyobrazić, czy był zadowolony.

Przez całe dwa tygodnie chodził Antoś z zawiązanym palcem i nie mógł rozpocząć nauki wyrzynania na drzewie właściwemi narzędziami, które mu właśnie dobry ojciec kupił. A ile razy spojrzał na zniszczone biurko, wstydził się swej swawoli i nieposłuszeństwa.

21.

WARTOŚĆ PIENIĘDZY.

Jaś i Felunia, mając dość wszystkiego u rodziców, nie dostawali nigdy pieniędzy i nie znali też ich wartości; wiedzieli tylko, że za pieniądze różne rzeczy kupić można.

Raz przyjechał dobry wujaszek, a na pożegnanie dał każdemu z dzieci ślicznego, nowego rubla mówiąc:

— Kupcie sobie co za to.

Skoro tylko wuj odjechał, dzieci siadły w kąciku i zaczęły radzić:

— Co ty kupisz, Jasieczku? — zapytała Felunia.

— Kupię sobie konika, ale nie drewnianego, oho! już się dość na takim wyjeździłem; takiego chcę mieć, jak ma pan Jakób, żywego, dużego, a musi być czarny, z białemi nóżkami i białą strzałką na czole.

— A ty?

— Ja — rzekła Felcia — kupię taki zegarek, jak mamunia nosi na szyi, z łańcuszkiem i kluczykiem; bo jak to dobrze wiedzieć zawsze, która jest godzina, nie tak łatwo można się spóźnić z nauką.

Przez resztę dnia dzieci marzyły o rzeczach, które nabyć umyśliły; lecz kiedy im ojciec powiedział, że na takie sprawunki nie po jednej, lecz przynajmniej po sto takich sztuk

miećby trzeba, pochowały je smutnie do szufladek.

Nad wieczorem Jaś i Felcia siedzieli w oknie i patrzyli na przechodzących, wtem pod murem siadła dla odpoczynku blada, wychudła kobieta.

Siedziała czas jakiś, a potem, spuściwszy głowę na piersi, głośno płakać zaczęła.

— Co ci to, biedna kobieto? — spytał Jaś.

Biedaczka odwróciła się do okna, a widząc dzieci, z litością na nią spoglądające, rzekła:

— Oh! bieda mi, ciężka bieda! i sama nic od rana nie jadłam, i w domu dwoje takich, jak wy, dziatek czeka o głodzie, póki im co nie przyniosę.

A ja nic nie mam, nic; nawet chleba kawałka!

Jaś z Felunią spojrzeli na siebie i, jakby się umówili, razem skoczyli po swoje pieniądze; potem Felcia, pokazując swój pieniądz kobiecie, spytała:

— Powiedz mi, dobra kobieto, czy też za takiego rubla dostaniesz bułkę chleba?

— Ach, panienko! przez cały tydzień żylabym za to spokojnie z dziećmi mojemi!

— No, to weź go sobie — rzekła Felcia — i tak ja za to zegarka kupić nie mogę.

— Ani ja konika — dodał Jaś — weź i mój.

I przez okno podali pieniądze ko-

biecie, która ze łzami w oczach ucałowała ich rączki i odeszła szczęśliwa i wesoła.

Potem dzieci uradowane rzekły do siebie:

— Dziwna rzecz te pieniądze, tak ich wiele potrzeba na strój lub zabawę, a tak mało dla uszczęśliwienia biednych.

22.

SZLACHETNA ZEMSTA.

Karolek poszedł ze strzelcem do lasu, przypatrzyć się, jak on strzela i nazbierać sobie poziomek, które bardzo lubił. Ojciec i matka powierzyli go opiece starego Andrzeja, bo wiedzieli, że przy nim nic złego chłopczykowi się nie stanie.

Andrzej zabił jastrzębia, ale Karolek szukał poziomek napróżno, — ktoś wcześniej wyzbierał wszystkie i krzaczki tylko po nich pozostały.

— Któż tu zbiera nasze jagody? — spytał wreszcie Andrzeja.

Szlachetna zemsta.

— Ludzie ze wsi, paniczu, — wstanie dziewucha rano, to ma pełen dzbanek do śniadania i łatwo w mieście sprzeda, zarobi parę groszy.

— To przecie nie ich las — oburzał się Karolek.

— Nie ich, ale kto tam będzie jagódki pilnował? Po prawdzie to nie powinni zbierać w cudzym lesie, ale tędy droga do miasta, więc kiedy taka pokusa czerwieni się przy ziemi, jakże nie skubnąć?

Chciał jeszcze coś tłumaczyć, ale Karolek nie słuchał, bo właśnie zaszli w znajomą gęstwinę i spostrzegł między drzewami wiejskiego chłopca, który w najlepsze zbierał w garnuszek poziomki.

— Ach, ty! — krzyknął Karolek —

zbierasz moje poziomki, — oddaj je zaraz, to moje!

Grześ chciał uciekać, ale się zatrzymał i rzekł bardzo pokornie.

— Niech mi panicz nie zabiera tych poziomek, bo to dla chorej matki.

— Albo to prawda! To sobie idź nazbieraj tam za drogą, gdzie ojciec wszystkim zbierać pozwala; a tu chodzić niewolno.

— Wszyscy chodzą, paniczu, bo już tam wyzbierali.

— Co mi do tego, oddawaj poziomki, — to moje poziomki, poskarżę ojcu.

— Eh — pan toby mi nie odbierał tego garnuszka — rzekł Grześ prawie ze łzami — i pani pozwoliłaby mi zbierać dla matki.

— Oddaj poziomki, Grzesiu — odezwał się Andrzej, który znał upór i zapalczywość Karolka — oddaj ten garnuszek, i zaraz idź do dworu, tam dostaniesz lepsze dla matki lekarstwo.

Rozmawiał z nim jeszcze chwilę, przypominając, jak troskliwie pani leczyła chorych we wsi, i uspokoiwszy zupełnie biedaka, powrócił do Karolka, który zajadał tymczasem odebrane Grzesiowi poziomki.

Ale widać niebardzo mu dziś smakowały, bo jakiś był zasępiony i wkrótce powiedział, że woli powrócić do domu.

Minęło kilka miesięcy, nadeszła jesień, wielu gości zjechało się na polowanie, Karolek dostał prawdziwą

fuzyjkę i któregoś dnia poszedł znowu z Andrzejem do lasu.

Szedł szczęśliwy i dumny: miał torbę myśliwską, strzelał ze swojej fuzyi, a chociaż nie udało mu się trafić nawet do wrony, sprawiało mu to ogromną przyjemność.

Ale wkońcu się zmęczył, — usiadł sobie pod drzewem i powiedział do strzelca.

— Idź ty dalej, Andrzeju, a ja tu odpocznę i poczekam na ciebie.

Andrzej wiedział, że w lesie nie było wilków, więc oddalił się spokojnie, zostawiając Karolka samego. Chłopczyk oparł się o drzewo, zamknął oczy i wkrótce zasnął.

Właśnie tą samą drogą przechodził Grześ zbierając suche gałęzie

na opał do chaty; spostrzegłszy Karolka, pomyślał.

— Aha, to ty odebrałeś mi poziomki, — poczekaj, teraz ja ci odbiorę to cacko.

I brał już ładną fuzyjkę, chcąc ją rzucić w zarośla, gdy nagle spostrzegł o parę kroków ogromną żmiję, która, podniósłszy głowę, już się w kłąb zwijała, by skoczyć na Karola.

Dobry Grześ zapomniał o zemście, zamierzył się suchą gałęzią, którą trzymał w ręku, i tak szczęśliwie trafił w gadzinę, że na miejscu padła nieżywa.

Na trzask gałęzi zbudził się Karolek, a poznawszy niebezpieczeństwo i szlachetność Grzesia, rzucił mu się

na szyję i rozpłakał ze wstydu i wzruszenia.

Odtąd został prawdziwym przyjacielem młodego wieśniaka, — uczył go czytać, pisać, rozmawiał z nim chętnie, zapoznał się przez niego z innymi chłopcami, polubił ich, i sam zmienił się bardzo.

Dawniej martwił rodziców śmieszną dumą i próżnością, wyobrażając sobie, że jest czemś lepszem od ludzi, którzy nie mają na piękne suknie, wygodne mieszkanie i różne przyjemności, — teraz poznał, że wartość człowieka nie zależy od pieniędzy, lecz od jego serca i duszy.

To też mawiał nieraz:

Kocham szlachetnych ludzi, czy

w sukmanie, czy to w prostej bluzie, bo przez nich sam stałem się lepszym.

23.

ZAGADKA.

Zosia, Kazio i Ludwiś, nabawiwszy się przez cały ranek, nie wiedzieli co robić, gdy przyjaciółka ich, Anielcia, rzekła:

— Powiem wam zagadkę.

— Powiedz! powiedz! — krzyknęły uradowane dzieci.

— Kto ją zgadnie — mówiła dalej Anielcia — ten dostanie ode mnie rozwiniętą różę, a kto nie zgadnie, ten mi jaki kwiatek dać musi.

— Dobrze, dobrze! tylko powiedz.

— Słuchajcież!

Wszystkie dzieci znają ptaka,
Wielkiego zawadyaka;
Otóż ja mu zdobię głowę,
Jak w koronę purpurową.

Oprócz tego, ja co rano
Grabię trawkę poplątaną,
Trawkę czarną, płową, ciemną;
No! zmiłujcież się nade mną,
I powiedzcie me nazwisko!
Wszak to trawka tak was blizko!

— Co to jest? Co to być może? — szeptały dzieci — korona u ptaka i grabie.

I zamyśliły się wszystkie, a Anielcia patrzyła z uśmiechem, jak sobie suszyły główki, gdy Kazio, przyłożywszy ręce do buzi, zawołał: »Kukuryku!«

— Kogut! kogut! grzebień u koguta.

— Prawda — rzekła Anielcia — no a grabie?

— O! rzekła Zosia — to też grzebień, którym się codzień czeszemy.

— Ale gdzież tam! — przerwał Ludwiś — gdzież czarna trawka?

— U Kazia na głowie — odpowie Zosia — a płowa, to moje włosy, a ciemna, to u Anielci.

— Zgadłyście zagadkę — rzekła Anielcia — ale komuż dać różę?

— Zostaw ją sobie, Anielciu, a my ci do niej uzbieramy kwiateczków i będzie wet za wet, bukiecik za zabawę.

24.

MUCHARY.

Frania lubiła bardzo pomagać w gospodarstwie i o tyle się już znała na wszystkiem, że ją matka nieraz wysyłała z kluczykami do spiżarni, a ona się nigdy przy wydawaniu różnych rzeczy nie pomyliła. W lecie, kiedy mama smażyła konfitury, nikt tak zręcznie z wisien, agrestu i porzeczek nie umiał wyjmować pestek, jak Frania; przy pieczeniu ciasta ona zawsze przebierała rodzenki i łuskała z łupinek migdały, a do suszenia śli-

wek nikt tak równo nie przyrządzał trzcinowych rożenków.

W początku jesieni nadeszła pora przechowywania grzybów na zimę. Frania uważała, jak matka smażyła pieczarki w maśle, trufle w oliwie, jak suszyła grzyby prawdziwe i potem nawlóczyła je na sznureczki, jak nakoniec soliła rumiane rydze i układała je w faseczki.

W kilka dni po ukończeniu tej roboty, słońce pięknie zaświeciło i Frania wybiegła do gaiku, co był tuż za ogrodem rodziców; tam w zaroślach, w miejscu wilgotnem zobaczyła kupkę prześlicznych grzybów: na białych korzonkach wyrastały purpurowe grzybki, a po nich rzucone

białe centki puszyły się, jak aksamit na czerwonym atłasie.

— Cóż to za przedziwne muszą być grzyby! — pomyślała Frania — takich jeszcze mama nie ma na zimę.

I zaczęła je zbierać, a napełniwszy nimi fartuszek, pobiegła żywo do matki, pokazując jej, co znalazła.

— Nieprawdaż, — mamuniu? — rzekła — z takimi grzybami to dopiero doskonała musi być potrawa?

— Nie, dziecię moje, te grzyby są trucizną; ktoby je jadł, umarłby niezawodnie, a przynajmniej ciężkoby chorował.

— Czy to być może!

— Przekonasz się zaraz.

To mówiąc, matka wzięła przyniesione grzybki, rozłożyła je na de-

seczce, polała wrzącą wodą i posypała cukrem, potem postawiła je na oknie w pokoju, gdzie muchy uwijały się rojami i wyszła.

Niedługo potem wróciła z Franią, która z wielkim zdziwieniem ujrzała pełno much nieżywych na podłodze.

— Widzisz, Franeczko — rzekła jej matka — te muchy tylko pokosztowały twoich pięknych grzybów i już nie żyją; takby się i z człowiekiem stało, który ich zjadł nieco.

— Ktoby to był pomyślał! — zawołała Frania — takie były ładne.

— Przekonaj się z tego, kochanko, że nie wszystko jest dobre, co piękne na oko, a pamiętaj nadal nie zbierać już takich grzybów, bo one

się tylko do wygubienia much w mieszkaniu przydać mogą i dlatego też mucharami je zowią.

25.

Z MAŁYCH RZECZY WIELKIE.

Po obiedzie podano wyborne jabłka, dzieci zjadły po jednem, potem wybierały pestki i figlarna Helenka to sobie czarne ziarneczka, jak muszki, przylepiała na twarzy, to, obierając je z łupinki, wołała:

— Hej! serki świeże! sprzedam niedrogo!

Tadzio tymczasem zebrał swoje ziarnka, zawinął je w papierek i schował do kieszeni.

— Co to z tego będzie? — spytała Helenka.

— Z tego będzie drzewo.

— Doprawdy! a jakież?

— Jabłoń.

— Pozwólże mi, Tadziu, usiąść pod twoją jabłonią! — rzekła żartobliwie dziewczynka; ale Tadzio niezrażony jej żartami, poszedł do ogrodu i, wskazując na altanę, rzekł:

— Jeżeli Bóg pozwoli, to za kilka lat będziemy tu przed altanką mieli śliczne jabłka.

Przeszła smutna zima, już i po niej stopniały śniegi i lody, a skoro wiosenne słoneczko dobrze ziemię ogrzało, Tadzio poszedł przed altanę, i, skopawszy ziemię łopatką, powsadzał w nią ziarneczka od jabłka, w jesieni jeszcze schowane.

Odtąd codzień chodził w to miej-

sce, polewał ziemię, gdy zbyt było gorąco, i z wielką radością doczekał się przecie, że z wszystkich ośmiu ziarneczek zeszły maleńkie wypustki.

— Co za pyszne drzewa! — mówiła, śmiejąc się, Helenka.

A Tadzio z uśmiechem polewał roślinki, osłaniał je przed upałem, zakrywał od zimnego wiatru, ogradzał patyczkami przed drobiem i cieszył się pracą i nadzieją.

Na drugi rok jabłonki podrosły nad ziemię, na trzeci już je do palika przywiązywać było potrzeba; na czwarty rok, ojciec, ucieszony wytrwałością syna, zaszczepił na młodych płonkach najlepszy gatunek jabłek: już się i Helenka śmiać przestała.

Niestety! w zimie, pomimo starań Tadzia, ostre mrozy zniszczyły mu cztery jabłonki, ale na wiosnę cztery pozostałe pokryły się mnóstwem kwiatów, a w jesieni śliczne, rumiane jabłuszka wyglądały z pod zielonych liści.

Niemało lat minęło odtąd, już Helenka dorosła, już ma swój dom, Bóg jej dał dzieci; a nieraz, siedząc w altanie i patrząc na śliczne cztery jabłonie, przypomina sobie i opowiada córce i synowi, jakto z maleńkich ziarneczek takie drzewa wyrosły, i uczy ich, że we wszystkiem z małych rzeczy będą wielkie, tylko potrzeba pracy i cierpliwości.

26.

MAMA NIE POZNA.

Ignaś nieraz uważał, że panowie zlewają się pachnącą wodą, a choć mu matka mawiała, że chłopczyk, o nauce, nie o stroju myśleć powinien, Ignaś, gdzie tylko znalazł jakie pachnidła, zaraz sobie polewał ubranie. Mama poznawała zawsze, ile razy to zrobił, i nigdy mu taka sprawka nie uszła bez nagany; raz nawet, kiedy wybierając się do znajomego chłopczyka, przez pomyłkę oblał się oliwą zamiast perfumami,

rozgniewana matka zagroziła, że za karę w domu zostanie. Ale później, widząc, że wstydzi się winy i szczerze obiecuje zupełną poprawę, rzekła:

— Gdybym wiedziała, że ci zaufać mogę, tobym ci jeszcze ten raz darowała winę.

— O! mamuniu kochana! — zawołał Ignaś — bądź pewną, że tego nigdy już nie zrobię; nie zapomnę, coś mi mówiła, że brzydko, gdy mężczyzna pachnidłami chce się przystroić.

— Więc Ignasiu, skończ pisanie, a potem idź do przyjaciela, ja muszę wyjść na miasto.

Ignaś został sam w pokoju; siedzi, pisze, a chcąc prędzej skończyć pracę,

zadaje sobie po dwa wiersze co pięć minut i częściej jeszcze spogląda na zegar. Na nieszczęście, czy też dla doświadczenia Ignasia, mama zapomniała schować do szafy flaszeczki z kolońską wodą i postawiła w kryształowym flakonie na komodzie, tuż obok zegara.

Ledwie Ignaś to spostrzegł, zaraz wzięła go chętka skropienia kolońską wodą świeżej kamizelki.

— Przyrzekłem mamie, że już tego nie zrobię — upominał sam siebie. — Tak... przyrzekłem, to prawda, ale ta kamizelka tak w praniu mydłem przeszła, że nie można w niej się pokazać... Tylko może mama znów poczuje zapach i będzie wstyd.

— O! gdzież tam! zanim wrócę do

domu, wszystko wywietrzeje. A moja obietnica?... To ostatni raz, a potem nigdy, nigdy nie uczynię tego.

Tak rozmawiając i targując się z sobą, Ignaś złożył zeszyt i zbliżył się do komody; sumienie szeptało mu jeszcze: »A przyrzeczenie?« ale chłopczyk nie słuchał: schwycił flaszeczkę, otworzył ją i skropił się kilku kroplami kolońskiej wody. Postawił flakonik, lecz z kamizelki nie czuć jakoś zapachu.

— No, jeszcze troszkę — rzekł do siebie — mama nie pozna!

I raz jeszcze wziąwszy w ręce buteleczkę, przechylił ją na siebie, ale, niestety tak mocno, że połowa kolońskiej wody wytrysnęła i zmoczyła go aż do bielizny.

Przeląkł się Ignaś, załamał ręce na myśl, co matka powie, i zadumał się smutnie; ale niedługo skoczył po koncept do głowy.

— O! i tą razą jeszcze się wyratuję! — pomyślał — ale już to niezawodnie będzie ostatni; kolońska woda taka czysta, z wodociągu także jak kryształ, doleję do flaszeczki i mama nie pozna.

Jak pomyślał, tak uczynił; ale cóż się stało? czysta kolońska i czysta rzeczna woda nie chciały się zgodzić, i zamiast przeźroczystego płynu, przerażony Ignaś ujrzał coś podobnego do mleka.

Blady, drżący, stał jeszcze na środku pokoju, kiedy matka wróciła. Osądźcie same dziateczki, czy mogła

się cieszyć z postępku syna i czy mu pozwoliła dnia tego iść na wizytę?

27.

WSPANIAŁOMYŚLNY WŁADZIO.

Władzio chodził do szkoły, uczył się dobrze, grzeczny był dla wszystkich, i wszyscy go też kochali; ale jeden z uczniów młodszy i nie tak pilny, jak Władzio, zazdrościł mu pochwał nauczycieli i miłości współuczniów i starał się dokuczać mu różnymi sposobami.

Władzio, nieraz mu rękę do zgody podawał, ale Krzysio zawsze znalazł jakąś przyczynę do gniewu i psoty: to Władziowi chował potrzebną książkę, to mu rozdarł rysunek, to, kiedy

się wszyscy bawili razem, trącił go w rękę, by nie mógł piłki do muru dorzucić, lub przeciął sznurek od latawca, kiedy się ten w górę podnosić zaczynał: Władzio gniewał się zrazu, łajał Krzysia, ale niedługo zapominał i przebaczał urazę.

Raz, kiedy po skończonej nauce Władzio siadł przy stole i zaczął pisać powinszowanie na imieniny ojca, i kiedy już napisał więcej niż połowę, ciesząc się, że wszystkie litery tak pięknie i równo mu się udały, złośliwy Krzyś przybiegł do niego i, niby niechcący, wywrócił na pismo Władzia kałamarz, pełen atramentu, a biały welinowy papier, rysowany dokoła wieniec, i śliczne pisanie, wszystko zniszczone zostało.

— Ach! — krzyknął Władzio, odskakując od stołu — gdybyś nie był mniejszy ode mnie, tobym ja cię oduczył takich niedorzecznych figlów.

— Nic nie szkodzi — odparł Krzyś — nie boję się ciebie, choć wyższy jesteś, i dawno mam chętkę spróbować się z tobą.

— Ja się z młodszymi nie próbuję! — odrzekł Władzio.

— Proszę! co mi za bohater! bo się mnie boisz.

W czasie tej kłótni zbiegło się kilku uczniów i patrzyli w milczeniu, co z tego będzie.

— Otóż — krzyczał Krzyś dalej — biorę was wszystkich za świadków, że to tchórz, bo się nie chce bić ze mną.

— A ja — rzekł Władzio — dowiodę wam, że tchórzem nie jestem... Ale wyjdźmy na dziedziniec.

Wyszli wszyscy, a Władzio, stanąwszy na środku podwórza, tak mówić zaczął:

— Bijatyki nie lubię, ale kiedy Krzysiowi się chce koniecznie moich sił doświadczyć, to przystanę na pojedynek.

— Dobrze! dobrze! — krzyknęli chłopcy dokoła — pojedynek! ale jaką bronią?

— Rękami — rzekł Władzio; — kto drugiego na ziemię obali, ten zwycięży.

Zgodził się Krzyś na to, i zaczął się pojedynek: złośliwy malec rzucał się jak kot na starszego Władzia,

bił go rękami, nogi mu podstawiał, ale nie mógł go ani z miejsca poruszyć; po długiej bitwie, gdy się już zmęczył i stanął, Władzio rzekł:

— Teraz na mnie kolej!

Przystąpił do przeciwnika, objął go wpół tak, że Krzyś ani ruszyć nie mógł rękami, drugą ręką wziął go pod kolana, i przyciskając go do siebie, jak niańka dziecię, obszedł po całem podwórzu, a potem, stawiając go w pośrodku, rzekł do zawstydzonego:

— Przekonałem cię, żem od ciebie mocniejszy i że się ciebie nie boję, nie jestem więc tchórzem; a jeżeli się nie biję, to dla tego, że nam Bóg dał ręce i siły do pracy i na pożytek bliźniego, a nie na szkodę i psotę.

28.

SZKODA NAGRODZONA.

Magdzia wyszła w pole z młodszym bratem Romankiem; nim doszli do miejsca, gdzie w zbożu bławatki rwać mieli, przechodzili około sąsiednich ogrodów, a mały Romanek zaczął prosić siostry:

— Moja Magdeczko, ułam mi jaką gałązkę, wsiądę na nią, jak na konika, to się nie tak zmęczę.

Magdzia, chcąc bratu dogodzić, wyjęła z kieszeni nożyk ogrodniczy i, upatrzywszy tuż przy drodze wysmukłą płoneczkę, urznęła ją, ober-

wała nieliczne listki, i podała gotowego konika szczęśliwemu Romankowi.

Nad wieczorem, wracając tąż samą drogą do domu, Magdzia ujrzała w miejscu, gdzie zerznęła ów prątek, małą dziewczynkę, która, siedząc na trawie, gorzko płakała.

— Czego tak płaczesz, dziewczynko? — spytała Magdzia.

— Jakże nie mam płakać, panienko, kiedy mi ktoś umyślnie taką szkodę zrobił.

— Jakąż?

— Oto przed rokiem, w dniu moich imienin, zasadził tu dla mnie ojciec wiśniowe drzewko, mówiąc: »Daję ci je na własność, pielęgnujże to drzewko, rośnijcie razem, a jak

ono liści i owoców nabywać będzie, tak ty nabywaj cnoty i nauki«. Ja też codzień przychodziłam do swojej wisienki, podlewałam ją w upały, w wielkie deszcze kopałam rowki dokoła, żeby woda ściekała, w zimie okręcałam ją słomą przed zimnem, na wiosnę zbierałam drobne liszki, żeby listeczków nie zjadły, i dziś przed mojemi imieninami przyszłam tu, chcąc kochane drzewko do słupka przywiązać, a ono zerznięte!

Dziewczynka znowu płakać zaczęła, a Magdzi niezmiernie żal się zrobiło, że mimowolnie taką wyrządziła szkodę; poszła więc smutnie do domu, ale przez drogę umyśliła sobie, jak naprawić złe, które zrobiła.

Przybywszy do mieszkania, opo-

wiedziała ojcu rzecz całą i zwierzyła mu się ze swego zamiaru; otrzymawszy zaś jego pozwolenie, gdy się tylko ściemniło, zabrała się do dzieła.

Magdzia od dwóch już lat miała w ogródku swoim morelowe drzewko, które, chociaż nie wielkie, śliczne już wydawało owoce; kazała je wykopać razem z drewnianą skrzynią, w której rosło, potem dwóch ludzi postawiło je na noszach, przenieśli drogą do sąsiedzkiego sadu i w miejscu zerzniętej wisienki wkopali w ziemię.

Nazajutrz było świętej Anny. Biedna dziewczynka ze smutkiem przypomniała sobie przeszłoroczny dar ojca, i wyszła już smutna, aby raz jeszcze zapłakać nad swoją stratą. Wystawcież sobie, dzieci, jak się

ucieszyła, gdy w miejscu zniszczonej płonki, ujrzała śliczną morelkę, z gęstym liściem i dojrzałym owocem.

— To mi chyba święta Anna zesłała! — zawołała radośnie.

— Nie — rzekła Magdzia, wychodząc z za krzaków — tylko żałująca szkodnica chciała choć w części zrządzoną szkodę wynagrodzić.

Opowiedziała Anusi wczorajsze zdarzenie. Odtąd między dwiema dziewczętami zawiązała się szczera przyjaźń, a morelowe drzewko, ów początek ich znajomości, dotąd jeszcze wydaje owoce, któremi Anusia wiernie się dzieli z Magdzią i jej rodziną.

29.

LIST Z KRAKOWA.

Marynia, chociaż już ośm lat miała, wolała przecież bawić się, niż uczyć; biegała po ogrodzie, chwytała motyle, plotła wieńce z kwiatów, nieraz nawet jeździła z bratem na drewnianym koniku. Ale jak też zato szła nauka! Przy czytaniu, gdzie było d-o-m, Marynia czyta dym, i tym podobnie, a co do pisania, to jeszcze gorzej się wiodło.

Już to nie wiem dlaczego, ale nigdy jej się nie udawały litery; zamiast nich Marynia stawiała zawsze

jakieś zabawne zygzaki, a przy każdym to okrągła, to podłużna plama, bo już co atramentu, to nie żałowała, i nietylko, że palce zawsze się nim umazały, jakby u najpilniejszego pisarza, ale nieraz i sukience się dostało.

Matka ze smutkiem patrzała na to i mawiała:

— Już widzę, że moja Mania nigdy się czytać ani pisać nie nauczy!

Raz nadszedł do mamy list z Krakowa; był on od dobrej, ukochanej cioci, która, donosząc o różnych rzeczach, tak list kończyła:

»Przy tym liście odbierzesz kochana siostro, dwa pudełka: niebieskie, w którym są cukierki, rozdasz je obojgu dzieciom; zielone zaś to otrzy-

ma, które przeczyta gładko przylepioną na niem karteczkę«.

Oczywiście, pudełko to nie było przeznaczone dla Michasia, bo on się jeszcze czytać nie uczył. Marynia zatem wzięła się do roboty.

— N-a-j... Nie-u-k.

— A czy to na mnie tak ciocia napisała?

— Cóż takiego? — spytała matka.

— Tu na pierwszem miejscu jest Nieuk.

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co tam napisano — rzekła matka, chowając pudełko do szafy — ale bądź pewna, że tak zrobię, jak ciocia chciała, i temu oddam pudło, kto kartkę bez omyłki przeczyta.

Zamyśliła się Marynia. Wstyd i cie-

kawość dodały jej ochoty do pracy, stała się pilną, uważną, i nie upłynęły dwa tygodnie, kiedy, poprosiła mamy o pokazanie pudełka, i przeczytała bez omyłki:

— »Najukochańszej siostrzenicy mojej Maryni, w nagrodę za jej pilność«.

Matka rozwiązała sznureczek i zdjęła nakrywkę, a w pudełku obok prześlicznej krakowskiej lalki, była książka z 200 obrazkami z historyi naturalnej. Cóż to dopiero była za uciecha! Michaś oglądał obrazki, Marynia czytała ich objaśnienia, a niedługo, choć niezupełnie równemi literami, napisała do cioci z podziękowaniem list, w którym ani jednego kleksa nie było, i zapewniam was, że przy

pisaniu go małe tylko plameczki wystąpiły na dwa paluszki Maryni.

Kto chce naprawdę, to wiele może.

30.

OBWARZANKI PIWNE.

Przez aleje szły dzieci ze służącą, było ich czworo, a każdemu dała matka parę groszy na pierniczek lub ciasteczko; kiedy już dochodziły do obszernej łąki, ocienionej kasztanami, zobaczyły chłopczyka, niosącego na plecach kosz z obwarzankami, w ręku na kiju niósł ich także kilkanaście i wyśpiewywał wesoło:

Obwarzanki piwne,
O, jakież przedziwne!
Niedrogo je przedam, za dwa cztery [grosze!
Smaczne, słone,
Wypieczone,
Kupcież u mnie, proszę!

— Czy to doprawdy z piwem te obwarzanki? — zapytała Józia.

— A tak — zaczął Ksawerek.

— Nie, panienko — poprawiła służąca — dlatego je piwnymi nazywają, że ich ludzie najwięcej jedzą, popijając piwem.

— Kupmy sobie tych obwarzanków — rzekł Gucio.

— Kupmy, kupmy! — i dzieci otoczyły piekarczyka, wybierając rumiane obwarzanki.

Wtem z drugiej strony nadszedł inny chłopczyk ubogo ubrany, i niósł w ręku klatkę drewnianą.

— Hej, czyżyki, wróbelki, makolągwy młode! kto kupi!

Dzieciaczki odstąpiły od obwarzanków, a pobiegłszy ku młodemu pta-

sznikowi, zaczęły się przyglądać ptaszkom i pytać, co za nie żąda?

Cztery były ptaszki i chłopczyk chciał za nie dwadzieścia groszy, ale po długich targach poprzestał na szesnastu.

Józia chwyciła szczygiełka z czerwonym gardziołkiem, Gucio wziął znajomego wróbelka, Ksawerek czyżyka z żółtemi piórkami, a maleńkiej Brońci dostała się makolągwa.

— Trzeba je teraz zanieść do domu — rzekł Gucio — powsadzamy je w klatki: będą nam śpiewały.

— O, nie! — zawołała Józia, — żeby tak pomarły, jak ten wróbelek przeszłego roku? Ja mego nie na to kupiłam. No! leć wesół, mój szczygiełku, a zaśpiewaj mi na pożegnanie

To mówiąc, pocałowała ptaszynę i podrzuciła ją w powietrze.

Niedługo trzy całuski dały się słyszeć po kolei, pootwierały się rączki i wszystkie ptaszki swobodne, szczęśliwe, poleciały w górę, a siadłszy na kasztanie, wesoło świergotać poczęły.

Potrząsnął głową, patrząc na to ptasznik, a zdziwiony piekarczyk rzekł:

— Nie lepiejto było zjeść kilka obwarzanków?

Jakże wy, dziateczki, myślicie?

31.

ZEGAREK.

Leon dostał od ojca zegarek, zegarek prawdziwy, z kółkami, sprężynami, wskazówką, słowem, zupełnie taki, jak noszą dorosłe osoby, tylko mniejszy. Leonek, szczęśliwy z kosztownego podarunku, pokazywał go każdemu, pysznił się nim, dobywał go co chwila z kieszeni, i radby go był na kurtce sobie powiesić, żeby go wszyscy widzieli. Raz, idąc przez most z ojcem, spotkali znajomego pana, który jeszcze nie wiedział, że Leonek ma zegarek; kie-

dy więc ojciec z nim rozmawiał, chłopczyk, chcąc koniecznie pochwalić się klejnotem, zapytał:

Przepraszam, która godzina u pana?

— Dziesiąta, mój Leonku — odrzekł znajomy, patrząc na zegarek.

— O! — zawołał Leonek, dobywając swojego — to jednak stare zegarki lepiej chodzą, niż nowe, bo u mnie jeszcze pięciu minut do dziesiątej brakuje.

— A! — rzekł znajomy — to ty masz własny zegarek, winszuję ci, i ładny, zdaje mi się.

Leonkowi nie trzeba było więcej, rad, że się będzie mógł popisać, czemprędzej zdejmuje z szyi sznureczek i podaje z nim razem zegarek, ale co za nieszczęście! w tym samym

czasie przechodzi obok niego wieśniak, niosący na plecach pęk chróstu, zawadza o sznureczek i wytrąca go wraz z zegarkiem z rąk biednego Leonka, i gdzież? na most? o nie! prosto w Wisłę!

Cóżto było płaczu i zmartwienia! i któż winien? Można się cieszyć swoją własnością, ale się nią pysznić i popisywać przed wszystkimi nie należy.

32.

KOLĘDA.

Marcinkowi umarł ojciec; wielki to był smutek w domu, tembardziej, że biednej matce nie zostało tyle majątku, by troje dzieci i siebie wyżywić. Miała ona bogatą siostrę, która dowiedziawszy się o jej nieszczęściu, wzięła do siebie Marcinka, przyrzekając, że mu u niej dobrze będzie. Tak było rzeczywiście: Marcinek miał u ciotki wszystkiego pod dostatkiem, mieszkał w pięknych pokojach, chodził w ładnych sukienkach, miał ksią-

żeczki z obrazkami i zabawek tyle, ile tylko zażądał; jednakże nieraz z żalem myślał o biednej izdebce, w której dawniej mieszkał z matką i siostrami, i nieraz westchnął smutnie, myśląc sobie: Co też one tam robią?

Nadeszła wigilia Bożego Narodzenia, ten dzień tak dzieciom miły i tak przez nie upragniony; u ciotki nakryto stół na kilka osób, bo mieli być goście na wieczerzy, a skoro tylko gwiazdki zeszły na niebie i zapalono świece, ciotka, wziąwszy Marcinka za rękę, poprowadziła go do swego pokoju, mówiąc przez drogę:

— Moje dziecię, przez cały czas, jak ze mną mieszkasz, byłeś dobry, posłuszny, nie zmartwiłeś mię ani

razu, za to spotka cię dzisiaj miła niespodzianka.

— To wszystko twoje! — dodała otwierając drzwi przymknięte, a zdziwiony Marcinek zobaczył na środku pokoju stojące zielone drzewko, ubrane w złocone jabłka i orzechy, pierniki, cukierki, figi, i oświecone mnóstwem kolorowych świeczek; pod drzewkiem dopiero poustawiane były zabawki, koniki, wózki, zwierzęta, gospodarstwo, nawet lalki i kuchenka.

Dobry Marcinek patrzył na to wszystko, ale niezadługo łzy mu się z oczu puściły. Zdziwiona tem ciotka, zapytała go:

— Co ci to Marcinku? czy ci się to nie podoba?

— Ach! ciociu! — zawołał chłop-

czyk, całując jej ręce — tyś taka dobra! jam taki szczęśliwy, ale, patrząc na to wszystko pomyślałem sobie: Czy też tam moje biedne siostrzyczki mają jaką kolędę? O, droga! kochana ciociu: pozwól mi się temi ślicznemi rzeczami podzielić z Franią i Kostusią!

— Pozwalam chętnie — odpowiedziała rozrzewniona ciotka — i przyrzekam ci, że twoje podarunki bardzo prędko do nich dojdą.

Teraz dopiero szczęśliwy Marcinek, ucałowawszy ręce ciotki, począł dzielić swoją kolędę, a kiedy już wszystkie porozstawiał zabawki, przeznaczając je to dla jednej, to dla drugiej siostry, i sobie tylko konika i biczyk zostawił, otworzyły się drzwi do sali

i dobre dziecię ujrzało matkę i siostry, które przyjechały na święta Bożego Narodzenia.

Nie trzeba was zapewniać, że wszystkim doskonale smakowała wieczerza i że Marcinkowi święta zeszły wesoło, bo, kto w szczęściu o innych pamięta, temu Bóg nie tylko w pracy, lecz i w zabawie błogosławi.

33.

ŚPIOSZEK.

Wandzia, dobra i miła dziewczynka, niezmiernie lubiła długo sypiać; codzień prawie siostry jej i bracia ubrali się, zmówili pacierz, a czasem i śniadanie zjedli, kiedy Wandzia jeszcze się przeciągała w łóżeczku.

Często mama napominała Wandzię, nieraz się siostrzyczki z niej śmiały, ale to wszystko nic nie pomagało.

Raz w lecie, kiedy się już wszyscy spać rozchodzili, mama rzekła:

— Dziateczki! jutro o ósmej rano pojedziemy na majówkę, wstańcież i ubierzcież się rano, bo jedziemy kolejką, która na nikogo nie czeka. Zwłaszcza ty, Wandeczko, nie zaśpij, zostałabyś w domu.

Nazajutrz rano służąca zbudziła dzieci, wszystkie powstały od razu, tylko Wandzia swoim zwyczajem rzekła:

— Zaraz, zaraz — i odwróciła się do ściany.

W domu wszyscy byli ogromnie zajęci, mama pakowała zapasy, służąca robiła śniadanie, nikt nie miał czasu pamiętać o Wandzi.

Mama przypomniała sobie o jej wadzie i zajrzała do dziecięcego pokoju.

— Wstawajże, Wandziu — zawołała zdziwiona, że śpioszek jeszcze w łóżku. — Chcesz chyba zostać w domu, bo czekać na ciebie nie będziemy mogli.

— W tej chwili wstaję — odmruknęła Wandzia, ale nie miała siły dobrze otworzyć oczu i na jedną minutkę przytuliła się jeszcze do poduszki.

Ubrali się bracia i siostry, budzą Wandzię.

— Wstańże prędzej, myśmy już gotowi!

Zadziwiona Wandzia zrywa się z łóżeczka, kładzie śpiesznie pończoszki, myje się jak może najprędzej, ale zaledwie jej służąca jeden zaplotła warkoczyk, głos ojca słyszeć się daje:

— Prędzej, dzieci! prędzej! musimy już jechać.

Wybiegły ubrane dzieci, a biedny śpioszek Wandzia ze łzami w oczach, oknem tylko patrzała, jak wszyscy wesoło siadali do tramwaju.

Matka spojrzała smutnie na dziewczynkę i pożegnała ją ręką, rozległ się dzwonek i tramwaj ruszył ku rogatkom; Wandzia na wpół ubrana została sama w domu.

Jak jej też nudno i smutno było przez cały dzień, jak żałowała swego ospalstwa, myśląc, że cała jej rodzina tak ochoczo się bawi!

Ale na dobre wyszła jej ta nauka: odtąd rano wstaje, nikt na nią nie woła, nikt jej nie budzi, bo Wandzia wie, że jak wówczas kolejka,

tak codzień czas nie czeka na nikogo, i kto chce korzystać z niego, zasypiać nie powinien.

34.

OGNIE SZTUCZNE.

Kilka rodzin z dziećmi zjechało się na wsi: było to już na jesieni; kiedy zatem rodzice przy ciepłym kominku rozmawiali o różnych rzeczach, kiedy dziewczynki bawiły się lalkami, kilku chłopczyków pobiegło w pole patrzeć na ostatnią siejbę i kopanie kartofli. Na polu robotnicy, chcąc się ogrzać i posilić po pracy, rozpalili ogień, a gdy się sporo węgli upaliło, nasypali kartofli, obłożyli je żarzewiem i czekali, aż się upieką.

Chłopczykom było zimno, zbliżyli

się do ognia, co widząc jeden z robotników, rzekł:

— Może panicze siądą przy nas i skosztują pieczonych ziemniaków?

Panicze nie dali się długo prosić, lecz nie chcąc próżnować, poczęli dokładać gałęzi do ognia, lepiej ogarniać kartofle, a psotny Julek wydobył nieznacznie z kieszeni kilkanaście kasztanów, które był po drodze pozbierał, i wsunął je w ogień, ciesząc się myślą, jak się towarzysze jego zadziwią, jeśli zamiast smacznego kartofla, który z nich gorzki kasztan pod zębami uczuje. Ale niedługo zadziwił się i Julek: kasztany, zagrzawszy się w ogniu, poczęły pęcznieć, rozsadzać twardą skórkę, i z hukiem wyskakiwać w powie-

trze. Przestraszeni robotnicy powstawali żwawo, ale niejedno przykre słowo usłyszał od nich Julek, bo kasztany rozskakując się w różne strony, poparzyły twarze i ręce dokoła siedzących; każdy prawie chłopczyk miał na twarzy znak Julkowej psoty, a on sam z pięciu czerwonemi plamami powrócił do domu, gdzie otrzymał od rodziców zasłużone polajanie. Co najgorsza, nie tylko nie kosztował pieczonych ziemniaków, ale nie śmiał się długo pokazać robotnikom, którzy, spostrzegłszy go, pytali ze śmiechem:

— A co, panie Julianie? jak się tam udają kasztanowe placki?

35.

PUSTE ORZESZKI.

Dwie córeczki miała mama: starszą Justynkę, a młodszą Joasię. Matka uczyła je, że powinny się kochać i pamiętać o sobie nawzajem, nadewszystko zaś upominała Justynkę, ażeby, jako starsza, dbała o młodszą siostrę. Justynka niby słuchała matki, ale, więcej o sobie niż o Joasi myślała; szczególniej, kiedy matka dała jaki przysmaczek do podziału, to już pewnie Joasia mniejszą daleko cząstkę dostała.

Pewnego razu mama, stawiając miseczkę orzeszków na stole, rzekła:

— Masz, Justysiu, — podziel się z siostrą.

— O! dobrze, mamo: jej dam więcej, bo ona mniejsza.

I po jednemu zaczęła Justynka rozkładać orzeszki na dwie gromadki, ale matka, patrząc na to zdaleka, poznała, że na jedną kupkę odkładała takie, po których łupinie można było wnosić, że są zdrowe i pełne, na drugą zaś puste i dziurawe. Po skończonym podziale rzekła Justynka:

— Pójdź, Joasiu! widzisz, jak ci dużo orzeszków odłożyłam.

— Nie, moje dziecię — powiedziała matka — weź sobie większą cząstkę, boś ty starsza, a oprócz tego za tak

piękny podział należy ci się nagroda.

Zawstydzona Justynka zgarnęła puste orzeszki, z których ani jednego zjeść nie mogła; ale odtąd dzieliła się z siostrą sprawiedliwie, bo długo pamiętała o pustych orzeszkach.

36.

GRZECZNE DZIECI.

Edzio i Amelcia grzeczni byli przez cały dzień, za to też mama kupiła dla Edzia duży bębenek z pałeczkami i wstążką do przewieszenia przez ramię, Amelci zaś laleczkę w różowej sukience, białym fartuszku i z prawdziwymi włosami.

Cieszyły się tem dzieci i postanowiły, że długo, bardzo długo bawić się będą tak ładnemi zabawkami; gdy nagle wbiegła służąca od znajomej pani, prawie zapłakana, mówiąc:

— Panno Amelio! panie Edwardzie! macie nowe zabawki: pożyczcie ich na godzinę dla naszej Klemuni.

— Ależ, moja Brygido — rzekł Edzio — myśmy te zabawki dopiero dostali, jeszcześmy się niemi nie nabawili, a Klemunia ma i tak swoich nie mało.

— To prawda — odpowiedziała Brygida — ale Klemunia po chorobie taka się stała dziwaczna, że jej się co chwila czegoś nowego zachciewa, a doktorzy powiedzieli, że znowu zachoruje, jeżeli często płakać będzie. Dogadzamy jej, jak możemy, ale teraz zobaczyła oknem, jak niesiono wasze zabawki; napiera się ich ko-

niecznie, płacze i może znowu zachorować.

— Weź, weź moją laleczkę! — zawołała Amelcia — tylko, kochana Brygido, jeżeli się to da zrobić bez rozgniewania Klemuni, to pilnuj też, żeby jej nie popsuła.

— Jeżeli mój bębenek koniecznie potrzebny — dodał ciszej Edzio — to można go wziąć także.

Brygida podziękowała dzieciom za uczynność i niezadługo odniosła im zabawki niezepsute, bo Klemunia nie była zła, ani psotna, tylko słaba i bardzo rozpieszczona; pobawiła się więc przez chwilę lalką, uderzyła parę razy w bębenek i zwróciła wszystko, kazawszy jak najpiękniej podziękować Edziowi i Amelci. A oni wię-

cej jeszcze mieli przyjemności myśląc, że uczynnością zapobiegli zmartwieniu, a może i chorobie Klemuni.

37.

KIEDY DZIECIĘ UPADA, BÓG MU RĘKĘ PODKŁADA.

Kocia swobodna i wesoła jak ptaszek, bujała po ogrodzie, po polu, po łące, a wszędzie dobrze jej było, bo dobrą, uprzejmą dziewczynkę kochali wszyscy; czy to w ogrodzie pełły kobiety, czy na łące siano zbierali kosiarze, czy w polu żeńcy żęli dojrzałe kłosy, z każdych ust miłe słyszała powitanie. Najbardziej jednak Kocia lubiła łąkę nad strumieniem, bo też nigdzie nie było tak miękkiej i świeżej trawki, tylu różnobarwnych kwia-

Kiedy dziecię upada.

tów. Samym brzegiem strumienia ciągnęła się wązka, wydeptana ścieżka, i po niej rankiem i wieczorem, kiedy rosa całą łąkę pokryła, Kocia suchą nogą biegała. Ale w środku tej ścieżki stała stara wierzba i giętkie gałązki aż do samej wody spuszczała; dziewczynka często gniewała się na to drzewo, bo, obchodząc je do koła, zamaczała nieraz trzewiczki.

— Mój tatuniu, — powiedziała raz do ojca — każ ściąć albo wykopać to drzewo, żeby mi nie przeszkadzało; wtedy dopiero dobrze będzie biegać od jednego do drugiego końca łąki ponad samą wodą.

Nie wiedziała, że stara wierzba ważną jej kiedyś miała oddać przysługę.

Pewnego razu Kocia spostrzegła

ślicznego motylka; — błękitne miał skrzydełka, a na nich czerwone centki i złote kropki. Lekka i płocha dziewczynka zaczęła go gonić po łące, motylek uciekał w różne strony, nakoniec zwrócił się ku strumieniowi.

— O! dobrze, dobrze — zawołała dziewczynka — nad wodą pewnie cię schwycę!

I wbiegła na swoją ulubioną ścieżkę; ale motylek, widząc groźną pogoń, nad brzegiem strumienia silniej rozwinął skrzydełka, by na drugą przelecieć stronę; biedaczek, długą ucieczką strudzony, nie dokazał tego, lecz kiedy już uczuł, że go siły opuszczają, nadpłynął listek wierzbowy i motylek na nim spoczął. Zobaczywszy to Kocia, chciała go z listkiem

przyciągnąć do siebie i machnęła chusteczką w wodę. Ale cóż się stało? Nad samym stojąc brzegiem, przechyliła się zanadto i wpadła w wodę.

Biedna dziewczynka nie umiała pływać, przelękniona robiła, jak mogła rączkami, wołając pomocy; lecz była to niedziela, wszyscy modlitwą lub zabawą zajęci, nikt jej głosu nie słyszał, a Kocia płynie i płynie, już ją siły opuszczają. Nagle nad głową spostrzega gałązkę, chwyta się za nią obiema rękami i poznaje, że to gałąź starej wierzby, na którą tyle razy się gniewała. Trzymając ją jedną ręką, drugą chwyciła za brzeg i wydostała się na ziemię. Niedługo odpocząwszy trochę, poszła do domu, a kiedy przelękniona matka prze-

brała ją w suche odzienie, gdy dziewczynka opowiedziała swoją przygodę, uklękły obie i gorąco dziękowały Bogu za to cudowne prawie ocalenie.

Odtąd Kocia nie gniewała się na starą wierzbę, siadała pod nią chętnie i myślała o tem, że nie trzeba zbyt pospiesznie sądzić, co jest dobre i potrzebne, a co niepotrzebne na świecie.

38.

PIES PRZYJACIEL.

W pewnym domu chowano pieska; nie był on ładny, bo czarny, kosmaty, nieduży; nie podobał się nikomu obcemu, ale wierny, czujny, pilnował domu w dzień i w nocy; niełakomy, choć wszedł do kuchni, żadnej szkody nie zrobił. Pies ten nazywał się Kruczek. Jaś, synek państwa, bardzo Kruczka lubił, dzielił się z nim śniadaniem, chował dla niego kostki z obiadu; głaskał go, pieścił, a wdzięczny Kruczek lizał go za to po ręku i bawił się z Ja-

siem po całych dniach na dziedzińcu. Raz służące wybrały się od rana na poziomki do pobliskiego lasu; Jaś tak usilnie prosił matki, że dała mu dzbanuszek, pozwoliła iść z niemi. Kruczek odprowadził panicza kawałek drogi i wrócił pilnować domu.

Cóż to za radość była dla Jasia, kiedy przyszedł do lasu, usłyszał śpiewy ptaków i zobaczył mnóstwo poziomek, rumieniących się w trawie.

Z początku wszyscy zbierali w jednem miejscu, ale pomału Jasio, oddalał się coraz bardziej i wkońcu zaszedł w zarośla tak głęboko, że ani drogi nie było widać, ani głosu nie słychać. Próżno strwożony wołał na służące, one, w mniemaniu, że poszedł w przeciwną stronę, oddalały

się coraz bardziej, a nie mogąc go znaleźć, pomyślały, że wrócił sam do domu. Napełniły wzięte naczynia poziomkami i odeszły, a tymczasem biedny Jaś, błądząc coraz bardziej w gęstwinie, zmęczony, splakany, siadł pod drzewem i usnął.

Matka Jasia z przestrachem zobaczyła, że służące wróciły bez niego, i dowiedziała się, że zginął w lesie, kazała czemprędzej zwołać ludzi, rozesłała ich w różne strony, i sama z dziewczętami, z któremi Jaś wyszedł, poszła go także szukać; za nią ze spuszczonemi uszyma, smutny i niespokojny szedł wierny Kruczek.

Gdy doszli do miejsca, gdzie Jaś oddalił się od służących, Kruczek poskoczył naprzód; przez jakiś czas

schylony w trawie szukał tropu, nakoniec zawył radośnie, bo węchem poznał, w której stronie Jaś się znajduje, i puścił się w zarośla. Matka Jasia nie spostrzegła, że Kruczek za niemi poszedł; długo daremnie szukała syna i już prawie rozpaczała, gdy wtem słyszy radosne szczekanie. Znając przywiązanie Kruczka do syna, pobiegła w tę stronę, i jakaż była jej radość, gdy ujrzała Jasia śpiącego pod drzewem, a przy nim wiernego Kruczka, który lizaniem starał się go przebudzić.

Tak poczciwe zwierzę wywdzięczyło się swemu panu za dobroć.

39.

PLAMA NA KROSNACH.

Wandzia siedziała w pokoju i pilnie znaczyła chusteczkę, bo słyszała przed chwilą jak matka gniewała się na niezręczną pokojówkę, mówiąc:

— Moja kochana! już tyle mi szkody narobiłaś, że jeśli nie staniesz się baczniejszą, to będę musiała cię oddalić.

Niedługo taż sama służąca weszła do pokoju, gdzie Wandzia pracowała, i zaczęła sprzątać. Smutna po otrzymanej naganie, chciała się pośpieszyć

ze sprzątaniem i tym sposobem przeprosić panią; w zbytnim jednak pośpiechu, ścierając ze stołu, zagarnęła ściereczką maleńki kałamarzyk i strąciła go na stojące obok krosna, na których pani haftowała.

Przelękniona dziewczyna zobaczywszy na środku białej kanwy ogromną plamę z atramentu, zbladła i załamała ręce. W tej chwili pani weszła do pokoju, spostrzegła zepsutą robotę i rzekła z gniewem:

— To pewnie ty znów zrobiłaś Małgorzato?

Wandzia pamiętna, że za pierwszą szkodę Małgorzata miała zostać oddaloną, powstała szybko i z rumieńcem na twarzy, ze spuszczonemi oczami rzekła:

— Daruj, mamuniu! to... to ja zrobiłam.

Matka napomniała łagodnie Wandzię, bo uważnej dziewczynce rzadko się podobne wypadki zdarzały, a kiedy później Wandzia wyznała jej prawdę, uścisnęła serdecznie córkę, mówiąc:

— Pięknie jest przyznać się do popełnionej winy, ale piękniej jeszcze bliźniego od kary lub nagany uwolnić.

Małgorzata zaś wdzięczna panience za jej dobroć, starała się poprawić ze swej wady i wkrótce była tak ostrożna i uważna, że wszyscy ją polubili, i nikt nie miał powodu do gniewu.

40.

SKORUPKI.

Od strony mostu szedł chłopiec garncarski, niosąc ponawłóczone na sznurze garnki, garnuszki, ryneczki, i dążył ku Staremu Miastu, bo tam, jak w każdy piątek, czekała na niego majstrowa, sprzedająca wyrobione przez cały tydzień naczynia. Tą samą ulicą szło kilku chłopczyków do szkoły; igrali i potrącali się wzajemnie, aż nakoniec jeden z nich potoczył się na garncarza, i stłukł mu cały sznur garnków. Biedny chłopiec

głośno płakać i wyrzekać począł, a mali figlarze tymczasem rozpierzchli się na wszystkie strony. Lecz nagle jeden z nich wraca, i mówi do garncarza:

— Przepraszam cię, mój kochany, za twój przestrach i zmartwienie, szkodę ci nagrodzę, tylko porachuj wiele się garnków potłukło.

— Ja nie wiem, paniczu, po czemu je majstrowa sprzedaje.

— To pozbierajże skorupki i pójdziemy do majstrowej.

Poszli na Stare miasto, opowiedzieli całe zdarzenie garncarce, a ta, potrząsając głową, obliczyła zbite garnki i wyrachowała na trzy złote szkody. Ale kiedy chłopczyk dobywał z woreczka trzy nowe złotówki i chciał

jej płacić, dobra kobieta, poglądając na niego, spytała:

— A dużo jeszcze masz pieniędzy, paniczu?

— Mam jeszcze kilka groszy — odpowiedział.

— No, to schowajże do nich i te złotówki; widać, że z ciebie poczciwe dziecko, kiedy chcesz szkodę wynagrodzić. Niech cię Bóg błogosławi.

Chłopczyk nie chciał przyjąć pieniędzy, garncarka toż samo.

— Ja przez to nie zginę — mówiła — co tydzień przynajmniej ponoszę taką szkodę, a nikt mi jej nie nagradza.

— A ja nie chcę być przyczyną niczyjej straty.

Kiedy się tak sprzeczają, nadcho-

dzi siwy staruszek o kiju, blady, wynędzniały, w połatanej sukmanie; przed sobą miał torbę, w niej kawałki chleba i sera, kilka kartofli, troszeczkę kaszy, soli gruzołek: znać że na wspomożenie go wszystkie przekupki się złożyły.

Chłopczyk spojrzał na staruszka, a potem rzekł do garncarki:

Więc pani nie chce przyjąć tych trzech złotych?

— Żadnym sposobem, jagódko! — odpowiedziała z uśmiechem kobieta.

— To weźże, dziaduniu, a módl się za tę panią!

To mówiąc, chłopczyk podał mu złotówki, a sam odszedł coprędzej.

— Módl się dziadku, i za to dziecko — rzekła rozczulona kobieta —

żeby mu Bóg pozwolił wyrosnąć na zacnego człowieka.

Siwy staruszek długo się modlił za dobrego chłopczyka, a Bóg zapewne próśb jego wysłuchał.

41.

IMIENINY BASI.

Czwartego grudnia, w dzień świętej Barbary, większy był ruch w domu, z powodu imienin najstarszej córeczki: dobrej, pilnej, posłusznej Basi. Zaledwie otworzyła oczy i wzniosła je do nieba, by podziękować Bogu, że ją przez noc od wypadku uchronił, ujrzała na ścianie złoty krzyżyk z takimże łańcuszkiem: był to dar ojca. Od matki dostała salopkę z futerkiem i pudełko rozmaitych zabawek. Siostrzyczka za swoje pieniądze kupiła dla Basi laleczkę, braciszek

podarował jej kanarka w klatce. Nawet służące, winszując Basi imienin, złożyły jej bukiet z białych, żółtych i liliowych nieśmiertelników, wśród których umieściły śliczną miesięczną różę, starannie w doniczce wypielęgnowaną. Po śniadaniu Basia poszła z matką do kościoła, pomodliła się, a wróciwszy do domu, zastała kilka, powinszowań od maleńkich swoich przyjaciółek.

Rodzice Basi pozwolili jej zaprosić kilkoro dzieci na wieczór: kupiono ciast, gruszek, jabłek; wujaszek przywiózł ogromną pakę cukierków, a stryjaszek, który zapomniał o imieninach Basi, dał jej pięć złotych, mówiąc:

— Każże za to kupić winogron: będziesz miała na wety dla gości.

Przyjęła Basia pieniądze, lecz nie posłała po winogrona, tylko po obiedzie spytała matki:

— Wszak te pięć złotych już są moją własnością?

— Tak, moje dziecię.

— Mogę z nimi zrobić, co mi się podoba?

— Możesz.

— Pozwól mi więc, mamuniu, wyprawić za nie podwieczorek dla biednych dziatek z ochrony.

Matka chętnie zezwoliła na żądanie Basi, a dziewczynka zajęła się szczerze wykonaniem pięknego zamiaru: kazała kupić mleka i kosz bułeczek. Ubrała się ciepło i poszła do ochrony ze starą służącą. Dzieteczki siedziały jeszcze na ławkach,

lecz że się wieczór zbliżał, dziewczynki składały swoje robótki, chłopczyki zawieszali na ścianie tablice, a opiekunka stojąc na środku sali, obmyślała nowe dla nich zatrudnienie; bo w ochronie dzieci ani na chwilkę nie są bez zajęcia.

Gdy Basia weszła, powitały ją wszystkie uprzejmie; kilkoro z nich powiedziało ładne bajeczki, a kiedy Basia rozdzieliła mleko i buleczki, dzieci smacznie je zajadały, bez łakomstwa i pośpiechu, a nawet niejedno połowę swojej bułki dla matki lub siostry w kieszonkę schowało.

Po podwieczorku podziękowały Basi i odmówiły wieczorną modlitwę, a dziewczynka szczęśliwa i wesoła wróciła do domu, bawiła się ochoczo

przez cały wieczór z zaproszonymi gośćmi; a idąc spać i dziękując matce za przyjemności, których w ciągu całego dnia doznała, rzekła:

— Najmilszą jednak była mi godzinka w ochronie, i tę najdłużej pamiętać będę.

42.

DOBREM ZA ZŁE ODDAWAJ.

Michaś i Wicuś chowali się razem, jednego mieli nauczyciela, jednakowego doznawali obejścia, ale niejednakie mieli serduszka.

Michaś uprzejmy, usłużny, przemyśliwał nad tem, jakby komu co przyjemnego zrobić, dowcipny i figlarny Wicuś, upatrywał wszędzie sposobności do wypłatania figla. Najwięcej od niego cierpiał biedny Michaś: to mu książkę gdzie rzucił, to zepsuł pióro, to schował scyzoryk, a biedny chłopczyk, oprócz przykrości

i straty czasu, nieraz i usłyszał naganę.

Ależ zato przy końcu każdego miesiąca Michaś odbierał nagrodę lub pochwałę za dobre sprawowanie i pilność w nauce, Wicuś prawie zawsze miał napisane:

Roztargniony, albo: nie dość pilny.

I nie mogło być inaczej, bo mu figle i psoty zabierały czas, na naukę przeznaczony.

Sprzykrzyły się wkońcu Wicusiowi ciągłe nagany. Jednego miesiąca postanowił sobie, że jednakowo z Michasiem uczyć się będzie; dotrzymał postanowienia i, chociaż tu i ówdzie jaką psotę wyrządził, choć potajemnie znalazł czas na sprzeciwianie się bra-

tu, przy końcu miesiąca otrzymał od nauczyciela niezwykły napis:

Uczył się wzorowo.

Uszczęśliwiony, położył papier na stole pod otwartem oknem i przystąpił do Michasia, który przy drugim stoliku układał mozolnie dom z drewnianych cegiełek; już wzniósł całą budowę, już ostatnią kładł dachówkę, gdy Wicuś niby nie chcąc, trącił stolikiem i gmach cały w drobne szczątki się rozsypał.

Smutny i rozgniewany Michaś wyszedł przed dom, i za pierwszem spojrzeniem zobaczył na kamieniach świadectwo Wicusia, które wiatr za okno wydmuchnął. Podniósł je i schował, myśląc sobie:

— I ja też tobie figla wypłatam.

Ale niedługo widząc, jak Wicuś szukał straconej pochwały, jak się smucił, że nazajutrz nie odbierze uściśnienia ojca, które mu za cały miesiąc pilności nagrodą być miało, wyjął pochwałę z kieszeni i, oddając ją bratu, rzekł:

— Chciałem to schować na długo, a może na zawsze, bo i ty mi nieraz taką przykrość zrobiłeś; oddaję ci jednak ten papier, bom sobie przypomniał, że mnie uczono: dobrem za złe oddawaj.

MUZEUM Konopnickiej

Spis rzeczy:

	Str.
Niespodzianka	1
Kominiarczyk	5
Poczciwość	8
Wróbelek	10
Zawsze prawda się wyda	14
Żółty nosek	18
Feluś	24
Ciekawość	27
Sumienie	30
Babunia	34
Łakomy Stasio	37
Pracowita dziewczynka	43
Bajeczka	46
Dotrzymuj słowa	49
Kupno na jarmarku	53
Kwiaty jabłoni	59
Chciałbym być stangretem	61
Zbytni porządek	68
Kładka	72
Scyzoryk	76
Wartość pieniędzy	79
Szlachetna zemsta	84
Zagadka	92

Str.

Muchary 95
Z małych rzeczy wielkie 100
Mama nie pozna 105
Wspaniałomyślny Władzio 110
Szkoda nagrodzona 115
List z Krakowa 120
Obwarzanki piwne 125
Zegarek 129
Kolęda 132
Śpioszek 137
Ognie sztuczne 142
Puste orzeszki 145
Grzeczne dzieci 148
Kiedy dziecię upada, Bóg mu rękę podkłada 152
Pies przyjaciel 157
Plama na krosnach 161
Skorupki 164
Imieniny Basi 169
Dobrem za złe 174

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa.

	Rb.	k.
Morawska Z. Cukierki dla malutkich. 24 powiastki z 22 rysunkami St. Sawiczewskiego. Karton.	1	—
— Drobne powiastki dla małych dzieci. Z 6 rysunkami kolorowanymi. Wydanie drugie. Karton.	—	80
— Z życia małych dzieci. Powiastki dla dziatwy poczynającej czytać. Wydanie czwarte, z 6 rycinami kolorowanemi St. Filipkiewicza. Karton.	1	—
Niewiadomska Cecylia. A. B. C. poglądowe. Nauka czytania i pisania ułożona według najnowszych zasad wychowawczych, z 345 rysunkami J. Holewińskiego. Z dodaniem powiastek i wierszyków najcelniejszych autorów. Wydanie drugie. Na pięknym papierze, w dużym formacie, w oprawie karton.	1	20
— A. B. C. uczmy się czytać i pisać, z wieloma obrazkami. Wydanie drugie. Karton.	—	30
— Elementarz. Nauka czytania i pisania, z obrazkami i wzorkami pisma. Karton.	—	20
— Powiastki króciutkie dla małych dzieci. Z rysunkami J. Holewińskiego. Wydanie drugie przejrzane i poprawione. Karton.	—	80
Okołowiczówna Stanisława. Światełka. Powiastki dla młodszej dziatwy. Z 28 rycinami. Karton.	—	80
Sadowska A. Obrazki dla dzieci od lat 5—7, z 20 rycinami K. Gorskiego. Karton.	1	—
Weryho Marya. Co mi powiesz? Powiastki dla małych dzieci, z 58 rycinami. Karton.	—	75
— Co słonko widziało. 34 powiastki dla małych dzieci, z 30 rysunkami K. Gorskiego. Wydanie drugie, w ozdobnej okładce kartonowanej	1	—
— I ja już czytam. 50 powiastek dla małych dzieci z rysunkami. Wydanie czwarte. Karton.	1	—
— Jak zająć dzieci w wieku przedszkolnym. Pogadanki, rozmowy, zabawy, robótki. Wyd. drugie przejrzane i poprawione z rysunkami i wzorkami w tekście. Karton.	1	—
— Wczasy. Powiastki dla małych dzieci, z rycinami Szewczyka. Karton.	—	90
— W lecie. Książka dla małych dzieci, z rycinami E. Lindemana. Karton.	—	75
— W zimie. Książeczka dla małych dzieci, z rycinami St. Sawiczewskiego. Karton.	—	80
Zaleska J. M. Bajeczki prawdziwe, opowiedziane dziatwie podług Z. Kornaz, przełożonej ogródka dziecinnego w Genewie. Wydanie czwarte, z 6 kolorowanemi rycinami. Karton.	—	80